

L. ANDREJEW.

~~№ 698~~

ŻYCIE O. WASYLA OTCHŁAŃ

Tow. Przyjaciół nauk w Przemyślu.

3456

D

DWIE NOWELE.

VI-5-30

TEOMACZYLI Z ROSYJSKIEGO
HENRYK I JAN ZBIERZCHOWSCY.

~~BIBLIOTEKA~~

~~URZĘDNIKOWA BIBLIOTEKA~~

~~SEKCJA IV~~

LWÓW · 1906
NAKŁADEM W. PODWIŃSKIEGO

Składy główne:

WARSZAWA: E. WENDE I SKA
LWÓW: H. ALTENBERG

A-19976



1000173276

Liter 13 b

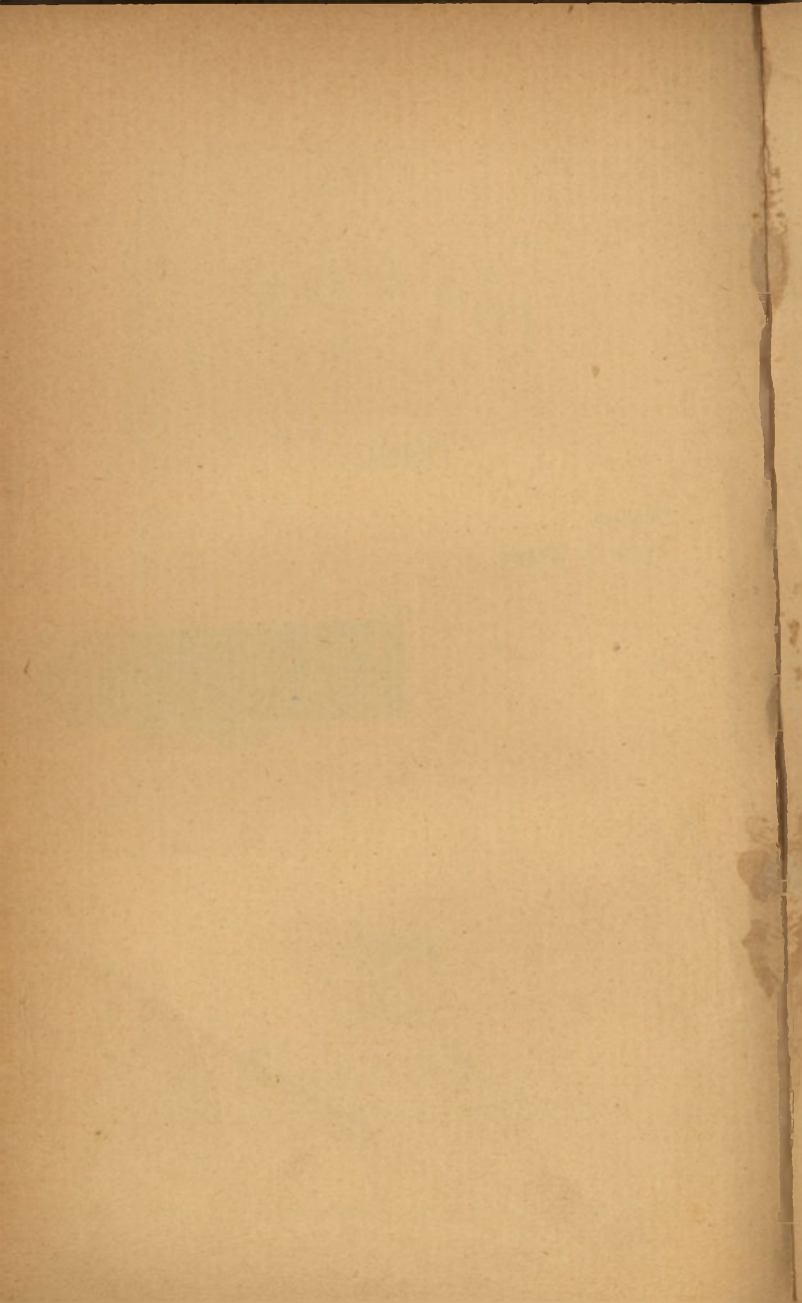
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Kr. 1160/56/3051

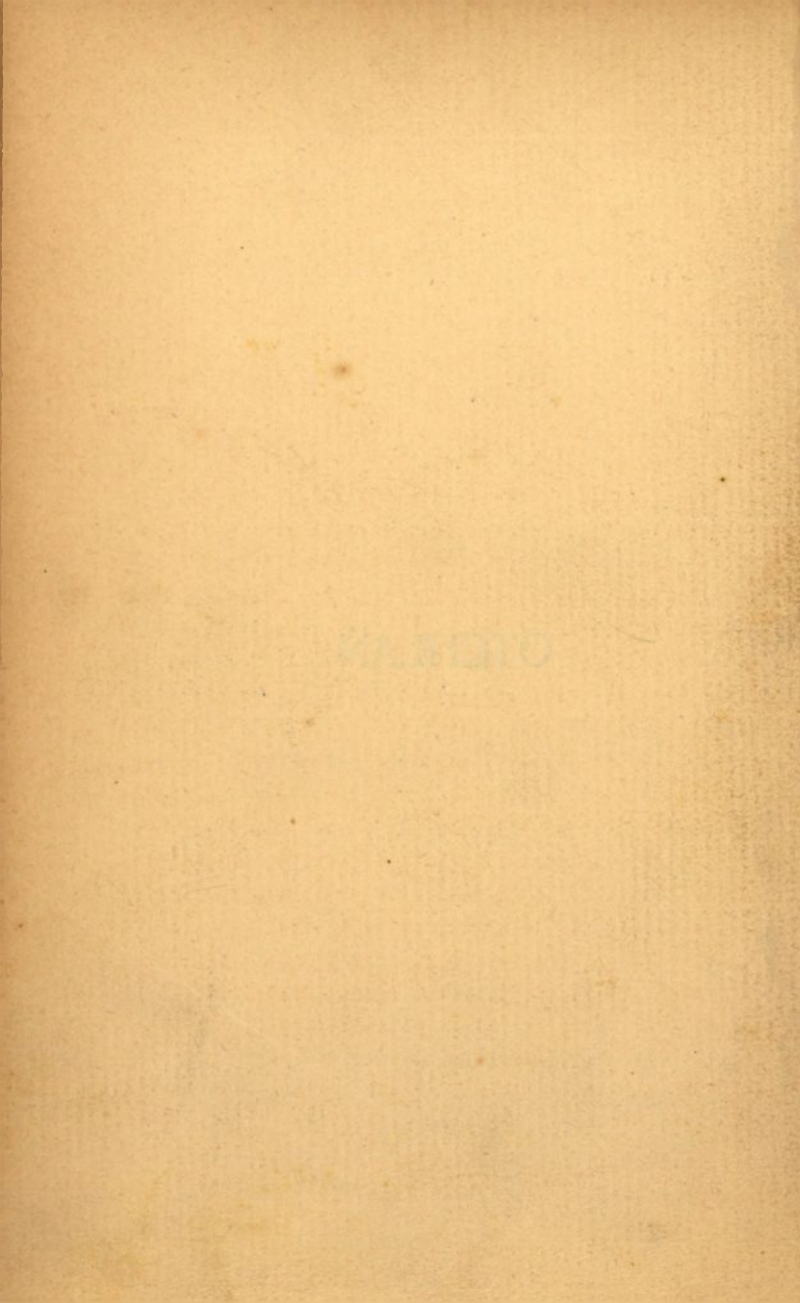
CZCIONKAMI DRUKARNI A KOZIANSKIEGO.

TREŚC:

	str.
Otchłań	1
Życie O. Wasyla	23.



OTCHŁAŃ



Zapadł już wieczór, a oni oboje szli jeszcze, rozmawiając żywo i zapomniawszy o spóźnionej porze. Przed nimi na płaskim wzgórzu zielenił się zaciszny gaj grabowy, a przez jego szmaragdowe listowie przedzierało się słońce, niby rozżarzony węgiel, i rozsypywało dokoła subtelny złocisty pył. Blask ten był tak intensywny, że wszystko przy nim blakło, rozpraszało się w fioletową mgłę, i świecił niby pochodnia, oświetlająca ścieżkę i okraszającą drzewa rumieńcem. Raził on tak oczy przechadzającej się pary, że powróciła, i wtenczas zgasło przed nimi nagle światło, a po chwili wszystkie przedmioty nabrały wyrazistych zarysów. Gdzieś hen daleko na tle zieleni szarzał jeszcze płomieniem smukły pień sosny, iskrzył się, niby świeca na ołtarzu. Ścieżka okryła się liliowym refleksiem; każdy kamyk na niej rzucał teraz długi, siwy cień, — a włosy dziewczyny lśniły świetlaną aureolą, przesiąknięte wskroś promieniami zachodzącego słońca. Jeden subtelny rozwiany włos kołysał się i drżał, niby misterna nić pajęczna.

Rozmowa ich była równie natchniona i piękna jak otaczająca ich przyroda: o mocy i piękności nieśmiertelnej miłości.

Byli bardzo jeszcze młodzi. Dziewczyna liczyła siedemnaście wiosen, Niemowiecki miał o cztery lat więcej, a oboje nie ukończyli jeszcze studyów: ona nosiła skromną wiśniowej barwy sukienkę gimnazjalistki, on — piękny uniform technika. I biła młodość z całej ich postawy, i z świeżych srebrzystych głosów, z szczerych i prostych wyrazów, przetkanych delikatnością i poezją, niby strumień, rozdzwoniony w cichą noc wiosenną, kiedy śnieg jeszcze na polach taje...

Szli ramię przy ramieniu, a ich dwa długie cienie, na końcach zwężone, komiczne tak z sylwetkami miniaturowych główek na olbrzymich korpusach, — rozdzielały się, to znów zlewały się w jedną wstęgę na kształt topoli. Lecz oni nie spostrzegali cieni, pogrążeni w swoich marzeniach: on nie spuszczał wzroku z jej pięknej twarzy, na której, zda się, zorza wieczorna pozostawiła część swoich słodkich barw, a ona miała oczy spuszczone wdół, na ścieżkę, z której raz wraz odrzucała na bok parasolką małe kamyczki, obserwując wysuwający się rytmicznie z pod ciemnej sukni to jeden, to drugi pantofelek.

Drogę, przez którą szli, przecinał strumień, z zakurzonymi, osuwającymi się brzegami, więc zatrzymali się oboje na chwilę. Zineczka podniosła głowę, rozejrzała się dokoła i zapytała:

— Czy pan wie, gdzie my właściwie jesteśmy? W tych stronach ja nigdy jeszcze nie byłam.

Rozglądął się i on niedbale.

— Tak, już wiem. Tam, za tym pagórkiem leży miasto. Proszę mi podać rękę, ja pani pomogę.

Wyciągnął dłoń, różową i wypieszczoną, jak u kobiety. Zineczka była tak wesoło usposobiona, że chętnieby przeskoczyła sama przez wodę, pobiegła dalej i krzychała: — „Złap mnie pan!“ — ale pohamowała się, pochyliła znowu głowę i wyciągnęła drobną rękę, pulchną jeszcze jak u dziecka. On chętnie aż do bólu uściśnąłby tę maleńką dłoń, ale także powstrzymał się, przyjął jej dłoń menuetowym ruchem i skromnie odwrócił oczy, kiedy wspinająca się pod górę dziewczyna odsłoniła nieco pończoszkę.

I znowu szli, ale myśli ich zajęte były całkowicie wrażeniem dotknięcia się na chwilę ciepłych dłoni. Jego dłoń była nawet gorąca, to przyprawiło ją o pewne wzruszenie; a on cały pochłonięty był myślą o czarnej sylwecie jej drobnej nóżki w maleńkim pantoflu, czule ją obejmującym. W reminiscencyach tych było silne niespokojne podrażnienie, ale silną wolą stłumił je natychmiast. Wówczas zrobiło mu się niezmiernie wesoło i czuł przyplływającą do serca taką przemożną radość, że chciałby śpiewać z wyciągniętymi ku niebu rękoma i krzyzczeć: „proszę uciekać, bo złapię“ — tę archaiczną formułą pierwotnej miłości wśród dżungli i lianów.

A od całego szeregu tych wzruszeń lzy cisnęły mu się do gardła.

Tymczasem pocieszne cienie znikły, i pył przydrożny nabral szarego wilgnego tonu, a oni nie widzieli tego i rozmawiali dalej. Oboje czytali wiele

dobrych książek, i dlatego w wyobraźni ich tak łatwo wyrastały postacie kochające, cierpiące lub padające ofiarą czystej miłości. W pamięci odnawiały się strofy dawno czytanych wierszy, przyoblekając miłość w szatę smętnej harmonii.

— Pamięta pani to? — pytał Niemowiecki, przypominając sobie: „i znowu przy mnie wybrana moja, przed którą ukryłem całą tęsknicę, całą wierność, całą miłość moją!

— Nie, nie pamiętam — odpowiedziała Zineczka i powtórzyła cichutko: „całą tęsknicę, całą miłość moją“...

— Całą miłość moją, — niby echo, powtórzył młodzieniec.

I znow żyli wspomnieniem i mówili o dziewczynach czystych, niby lilije białe, przywdziewających wkońcu czarny strój zakonny, i samotnie tęskniących wśród parku, osypanego jesiennymi liśćmi, szczęśliwych w swoim nieszczęściu; mówili o bohaterach, dumnych i władnych, a jednak cierpiących, błagających o miłość i pożeranych zazdrością. Smutne to były obrazy, ale w ich tragedyi tem czystsza, tem bardziej świetlaną stawała się miłość sama.

Wyrastała ona przed ich wzrokiem ogromna, jak światy, jasna, jak słońce i dziwnie, majestatycznie piękna.

— Czy pan potrafiłby umrzeć dla swojej ukochanej? — zapytała Zineczka, patrząc na swoją dzieciną ręką.

— Tak, potrafiłbym, — odpowiedział Niemowiecki hardo, a spoglądał na nią przytem szczerze i z miłością. — A pani?

— Ja także, — zamyśliła się. Przecież to ogromne szczęście: umrzeć dlatego, kogo się kocha. Mój Boże!

Oczy ich spotkały się, jasne, skupione, i posłały sobie jakieś ciche wyznanie, a usta składały się do uśmiechu. Zineczka zatrzymała się.

— Poczekaj pan, — rzekła. — Zdejmę panu nitkę z surduta. — Podniosła rękę śmiałym ruchem do jego ramienia i ostrożnie, dwoma palcami, zdjęła nitkę.

— Oto jest! — potem spowaźniała i zapytała znów: — Dlaczego pan taki blade i szczupły? Pan musi dużo bardzo pracować? Nie trzeba się zamęczać, proszę pana o to.

— Pani ma oczy błękitne, a w nich jasne punkiki, jak iskry, — odpowiadał, przypatrując się jej oczom.

— A pańskie takie czarne. I ciepłe, dobre. A w nich...— Zineczka niedomówiła co w nich wyczytała. Twarz jejokryła się szkarłatem i rozbłysła uśmiechem. I nie czekając na promieniejącego szczęściem Niemowieckiego, porwała się naprzód, ale już po chwili przystanęła.

— Panie, popatrz pan, słońce już zaszło! — krzyknęła ze smutnem zdziwieniem.

— Tak, już zaszło, niestety, — odpowiedział z lękiem. Światła pogasły, umarły cienie, i ciemność tajemnicza rozlała się w przestworzu. Z tej strony, w której niedawno gorzało się słońce, pęzały teraz cicho, zda

się, szeleszcząc ciemne zwały chmur, i szmat po szmacie obejmowały w posiadanie nieboskłon. Obłoki te szły, popychały się, zmieniały raz wraz swe fantastyczne kontury i niechętnie posuwały się naprzód, jak gdyby gonione przez jakąś żywiołową rozhukaną siłę. Oderwana od innych, samotnie płynęła po niebie srebrzysta kędzierzawa chmurka, wątła i wystraszona.

II.

Twarz Zineczki przybladła, wargi nabrzmiały krwią, źrenice rozszerzyły się od nerwowego wpatrywania się w ciemność; wyszeptła cichutko:

— Boję się. Tu tak cicho. Czyśmy przypadkiem nie zabłądzili.

Niemowiecki spochmurniał nagle i rozglądał się po okolicy. Ze wszystkich stron rozciągało się szare pole z niską wydeptaną trawą, pełne gliniastych rozpadlin, wyrw i pagórków. Przepaści było tam mnóstwo, a wszystkie głębokie, o spadzistych brzegach, porosłych wrzosem; w ich głębi czaiła się już noc. Tu i ówdzie, niby zgęszczona liliowa mgła, wyrastały gaje i przylaski, z wyrazem oczekiwania na coś strasznego, co dopiero ma się dopełnić.

Niemowiecki zdusił w sobie uczucie trwogi i rzekł: — Nie, myśmy nie zabłądzili. Ja znam drogę. Najpierw przez pole, a potem przez tamten las. Pani się obawia?

Uśmiechnęła się odważnie.

— Teraz już się nie boję. Ale śpieszmy się, bo nie zdążymy na herbatę.

Przyśpieszyli kroku, ale nie trwało to długo. Nie rozglądali się, odczuwali tylko ponurość zornych pól, strzelających ku nim tysiącem nieruchomych oczu, a to wspólne uczucie zbliżało ich tem mocniej do siebie i rzucało w baśniany kraj wspomnień z dzieciństwa. Wspomnienia te były jasne, rozsrebrzone słońcem, miłością i śmiechem. Jak gdyby to nie było życie, ale szeroka, rzewna pieśń, o dwóch dźwiękach, o dwóch samotnych nutach: jedna dźwięczna i czysta jak kryształ, druga nieco przygłuszona, ale jaśkrawsza -- niby dzwonek.

Ukazali się ludzie — dwie kobiety, siedzące na kraju ciemnego usypiska; jedna założyła nogę na nogę i patrzyła w dół; chustka na głowie rozwiązała się, odkrywając pasma zburzonych włosów, plecy zgarbiły się w kabłąk, ustrojone w brudny stanik w duże kwiaty. Na przechodzących nie spojrziała nawet. Druga kobieta leżała obok z podniesioną głową. Miała owalną twarz o męzkich rysach, a pod wpadłemi oczami krwawiły się dwie ceglaste plamy. Była jeszcze bardziej zaniedbana od tamtej a spoglądała w oczy idącym wyzywająco i hardo. Kiedy podeszli całkiem blisko, zaintonowała niskim głosem:

Dla ciebie, mój kochanku,
Kwitłam jak kwiat rumianku...

— Barbarko, słyszysz, do cholery? — Zwróciła się do milczącej przyjaciółki, i nie otrzymawszy odpowiedzi, zachichotała szpetnie.

Niemowiecki znalazł te kobiety, brudne nawet wówczas, gdy są wystrojone w bogate, piękne suknie, przywykł do nich, ale teraz prześliznęły się przed jego wzrokiem i znikły, nie zostawiając śladu. Ale Zineczka, prawie dotykając je swoją sukienką, poczuła jakiś niesmak. Po chwili wrażenie zatarło się, jak cień obłoczku, biegnący po złocistej runi pszenicy, a kiedy następnie przeszedł koło nich jakiś mężczyzna w czapce i w anglezii, ale bosy, i także sama dziwaczna kobieta, — nie spostrzegła ich prawie. Długo jeszcze obracała się za siedzącą postacią, i zdziwiło ją potroszę to tylko, że nieznajoma miała zbyt cieką suknię, jak gdyby oblepioną i mokrą, pod którą rysowały się dokładnie kontury nóg bosych, wygryzionych przez błoto i brud. Potem szli znowu, rozmawiając, a za nimi płynęła niby od niechcienia ciemno-olowiana chmura, otoczona żółtomiedzianymi plamami. A ciemność rosła tak niespostrzeżenie i nagle, że trudno było w nią uwierzyć; zdawało się, że to dzień jeszcze ale ciężko chory i cicho konający. Mówili teraz o strasznych uczuciach i myślach, jakie trawia człowieka po bezsennej nocy, kiedy to, co jest życiem, potężne i wielookie, jak i sama ciemność, przyciska się mocno do jego twarzy.

— Jak pan sobie wyobraża nieskończoność? — zapytała Zineczka, przykładając do czoła pulchny kułaczek i mocno mrużąc oczy.

— Nie wiem... Nieskończoność... Jakby to pani wytłumaczyć! — odpowiedział Niemowiecki, także mrużąc oczy.

— A ja nieraz ją widzę. Pierwszy raz zobaczyłam ją. kiedy byłam jeszcze taka maleńka. To tak, jakgdyby stały wozy. Stoi jeden wóz, drugi, trzeci, i tak dalej, bez końca, same wozy, i wozy...—Strasznie drgnęła.

— Ale dlaczego wozy? — uśmiechnął się Niemowiecki, choć to wszystko oddziało na niego nieprzyjemnie.

— Nie wiem, doprawdy. Wozy, jeden, potem drugi... bez końca.

Ciemność gęstniała, a chmura już przeszła ponad nimi i zaglądała im teraz w oczy. I coraz częściej wylaniały się z ciemności sylwety obszarpanych kobiet, jakgdyby wypluwanych na powierzchnię przez gardziele tych przepaścistych jam, a głosy ich rozlegały się dziko w chłodnem powietrzu nocy.

— Kto są te kobiety? Skąd ich tak wiele? — pytała Zineczka lękliwie. Niemowiecki wiedział, kto były te istoty, i strach go wzbierał, że dostali się w takie okolice. Mimo to odpowiedział spokojnie:

— Ja nie wiem. Tak. Nie trzeba zresztą o nich mówić. Zaraz wejdziemy do tego lasku, a tam dalej już będzie roгатka i miasto. Szkoda, żeśmy tak późno wyszli.

Rozśmieszyło ją to, że mówił „późno“, kiedy oni wyszli już o czwartej godzinie, i spojrzała na niego. Ale brwi jego były wciąż zsunięte i chmurne, więc zaczęła go pocieszać.

— Chodźmy prędey. Chce mi się pić. Zresztą las już niedaleko.

- Chodźmy.

Gdy weszli do lasu, a drzewa zeszły się szczytami nad ich głowami, zrobiło się całkiem prawie ciemno, ale wygodnie i zacisznie.

— Proszę mi dać rękę, — zaproponował Niemowiecki. Podala mu ją nieśmiałym ruchem, a lekkie dotknięcie rozproszyło naraz ciemność. Ręce ich były sztywne i nie ścisnęły się zbyt mocno, a Zineczka nawet odsuwała się dyskretnie od towarzysza, lecz cała ich świadomość skupiła się na odczuwaniu tego małego miejsca na ciele, w którym dotykały się ich dłonie. I znów chciało się mówić o miłości, ale nie słowami, ażeby ciszy nie naruzać — ale spojrzeniem. Myśleli więc, że dobrzeby było spojrzeć sobie w oczy, ale nie mogli się zdecydować.

-- Ach oto znowu ludzie! — rzekła Zineczka wesoło.

III.

Na polance, na której było nieco jaśniej, siedziało przy wypitej flaszcze trzech ludzi, patrzących wyczekująco na przechodzącą parę. Jeden z nich, golony, jak aktor, zaśmiał się i gwizdnał tajemniczo.

Serce Niemowieckiego zabiło żywiej, potem zamarło w strasznym lęku, ale, jakgdyby popychany z tyłu, szedł prosto w stronę siedzących koło ścieżki.

Ci czekali cierpliwie, i trzy pary oczu świeciły groźnie wśród ciemności. Chcąc zjednać sobie tych

ludzi, obdartych i podejrzanych, i okazać im całą swoją bezbronność, a może i wzbudzić w nich współczucie, — zapytał grzecznie:

— Przepraszam, czy tędy droga do rogatki?

Nie było żadnej odpowiedzi. Golony świsnął znowu ironicznie, a dwaj inni patrzyli złowrogo i przenikliwie. Byli pijani, źli, spragnieni miłości i podniecenia. Ten, co miał twarz nalaną i czerwoną, podniósł się na łokciach, potem niepewnie, jak niedźwiedź, oparł się na łapach i wstał, ciężko sapiąc. Towarzysze ukradkiem spojrzeli na niego, poczem znowu wpili wzrok w Zineczkę.

— Boję się, — wyszeptala bezgłośnie.

Nie słysząc słów, Niemowiecki po ucisku wspierającej się na nim ręki pojął je. I usiłując zachować równowagę, choć przeczuwając nieuniknioną konieczność tego, co się zaraz stać miało, zaczął iść równo i twardo. Trzy pary oczu zbliżyły się, zabłysły w ciemności i pozostały w tyle. „Trzeba uciekać,— pomyślał Niemowiecki, lecz głos jakiś mówił mu — „Nie, to będzie gorzej“.

— Jakiś zdechlak, do niczego — powiedział trzeci z grupy, łysy, z rudą bródką.

— A dziewczeczka wcale smaczna, daj Boże każdemu taką. — Wszyscy trzej zaśmiali się od niechcienia.

— Paniczu, poczekaj-no, ja tylko dwa słowa!— zawołał ten najmniejszy z pomiędzy nich i spojrział na towarzyszy. Ci podnieśli się.

Niemowiecki szedł dalej, nie oglądając się poza siebie.

— Trzeba poczekać, kiedy się prosi, — rzekł rudy.

— Bo czasem i oberwać coś można.

— Do ciebie się mówi! — huknął olbrzym i dwoma skokami dopędził idących. Ciężka ręka spoczęła na ramieniu Niemowieckiego i wygięła go w tył, a wtedy spotkał się tuż przy samej twarzy z parą wylupionych, strasznych oczu. Były tak blisko, jak-gdyby widziane przez lupę, pełne krwawych żyłek na białkach. Student puścił skamieniały rękę Zineczki, i szukając po kieszeni, mruzczał:

— Pieniędzy!... Proszę panów. Ja z przyjemnością...

Wypukłe galki oczne zaokrąglily się jeszcze bardziej i świeciły. A kiedy Niemowiecki odwrócił się, drab odszedł na krok i bez rozmachu zdołu uderzył Niemowieckiego w podbródek. Ugodzony zachwiał się, zgrzytnął zębami, zgubił czapkę, która mu spadła w trawę i rozłożywszy ręce, upadł na wznak. Bez najmniejszego krzyku Zineczka obróciła się i zaczęła biedz, tak szybko, ile tylko pozwalały jej siły. Ogolony krzyknął ochryple:

— Łapaj!!

I pognął za nią.

Niemowiecki zerwał się jeszcze raz, lecz zanim wyprostował się, został znowu zwalony z nóg uderzeniem w ciemię. Ich było dwóch, a on jeden tylko, słaby, do bitki nie przywykły, ale przecież szamotał

się długo, drapał i kąsał, jak rozbestwiona pijana kobieta. Kiedy osłabł, podnieśli go i zaczęli nieść; opierał się im jeszcze, ale w głowie już czuł szum, zwolna tracił przytomność i bezwładnie zwisał na niosących go rękach. Ostatniem, co dostrzegł, — była to ruda broda, prawie włożąca mu w usta, a za nią ciemność leśna i wśród niej jasny staniczek uciekającej dziewczyny. Biegła tak lekko, jak gdyby bawiła się w łapankę, — a za nią drobnymi kroczkami golony drab. Potem Niemowiecki uczuł wkoło siebie straszną przygniatającą pustkę, zaczął lecieć w przepaść bez dna, i uderzony głową o ziemię — stracił przytomność.

Chwilę pozostali jeszcze przy porzuconym w rowie Niemowieckim, wysoki i rudy, słuchając, co działo się w głębi rowu. Ale twarze ich i oczy zwrócone były w stronę, gdzie zostawili Zineczkę. Stamtąd doleciał ich uszu przygłuszony kobiecy krzyk i zamarł natychmiast.

Wtenczas wysoki krzyknął ze złością :

— Szubrawiec; — i łamiąc gałęzie po drodze jak niedźwiedź, poczał biedz w las....

— I ja także! I ja! — cieniutkim głosem zapiszczał rudy, puszczając się za nim. Miał słabe płuca i dyszał ciężko; w bójce skaleczył się w kolano, i zazdrość go chwytła, że on pierwszy wpadł na myśl o dziewczynie, a ta jemu dostanie się na ostatku. Zatrzymał się, potarł ręką kolano, wysiakał nos palcami, i znowu pobiegł, krzycząc żałośnie:

— I ja! I ja także!...

Ciemna chmura rozlała się po całym niebie, i przyszła cicha, ponura noc. W ciemności zniknęła wkrótce postać rudego, ale długo jeszcze rozlegał się tupot jego nóg, szelest rozsuwanych liści i krzyk, pełen skargi:

— I ja. Bracia, i ja!!

IV.

Do ust Niemowieckiego dostała się ziemia i skrzyiała mu w zębach. I pierwsze, co uczuł, przyszedłszy do przytomności, to był silny mdły zapach ziemi. Głowa ciążyła mu, jakgdyby nalana ołowiem, tak że trudno mu było nią ruszyć; całe ciało miało zbolale, a najdotkliwiej dokuczało mu ramię, ale każda kostka była na swoim miejscu. Niemowiecki siadł i długo patrzył się w niebo, o niczem nie myśląc, niczego sobie nie przypominając. Tuż nad jego głową był krzak z czarnymi szerokimi liśćmi, przez które przezierało niebo, czyste i bez chmur. Duża chmura przeszła, nie dając ani kropli dżdżu i tylko rozsiała w atmosferze przejrzystość i lekkość, a wysoko, na samym szczycie nieboskłonu zawisł róg księżycowy. Przeżywał on swe ostatnie noce i świecił zimnym, samotnym blaskiem. Silny wiatr dął od wschodu, obiecując deszcz na dzień następny.

Niemowiecki przypomniał sobie z wolna, co się stało, i nie chciał wierzyć. To co stało się, było przecież takie straszne, i tak niepodobne do prawdy, że uwierzyć temu było niemożliwe, było wprost sza-

leństwem, a sama obecność jego tu w trawie w noc ciemną, patrzącego z jakiegoś z dołu na białą sierp księżyca, była też niepodobna do rzeczywistości. Więc pomyślał, że to tylko zwyczajny straszny sen, bardzo straszny i bardzo przykry. A te kobiety, które wtedy spotykali, były także snem.

— To być nie może — rzekł głośno, — nie może być. — Wyciągnął rękę po czapkę, ale nie znalazł jej. A to że jej nie było, odrazu rozświetliło i rozprószyło wszelkie wątpliwości, i pojął, że to co się stało, jest straszną, potworną rzeczywistością. Po chwili zamierając z przerażenia, wdrapywał się już na górę, spadał razem z usypującą się ziemią i znów się drapał, chwytając się giętkich gałęzi leszczyny.

Kiedy wydrapał się na równe miejsce, pobiegł przed siebie, nie obierając kierunku, i długo biegł i krążył pomiędzy drzewami. Potem z tą samą gwałtownością pobiegł w inną stronę, i znów gałęzie rozdierały mu twarz, i znowu wszystko podobne było do sennej mary.

Zatrzymał się, potem usadowił się w niewygodnej pozycji człowieka, siedzącego na gołej ziemi, bez podwyższenia. I znowu pomyślał o czapce, mówiąc:

— To rzeczywistość. Więc teraz czeka mnie śmierć. A nawet choćby to był sen tylko...

Zerwał się znów i pobiegł, ale opamiętał się i szedł krok za krokiem, przypominając sobie miejsce, gdzie ich napadnięto. W lesie było zupełnie ciemno, ale od czasu do czasu przeglądał błądy promień

miesiąca i zwodził, oświetlając białe konary, tak, że las chwilami zdawał się być pełnym nieruchomych i milczących ludzi. Ach więc to rzeczywistość, czy tylko przykry sen!

— Panno Zineczko! — wołał Niemowiecki, i głośno wymawiał pierwsze słowo, a cicho drugie, jakgdyby tracąc razem z dźwiękiem nadzieję, że ktoś się odezwie... Cisza...

Potem odnalazł ścieżkę, poznał ją i doszedł do polanki. Tu począł się miotać na wszystkie strony, krzycząc rozpacznie:

— Panno Zineczko! To ja! To ja!

Nikt nie odpowiadał, więc odwróciwszy się w tę stronę, gdzie prawdopodobnie leżało miasto, Niemowiecki krzyknął:

— Ratunku!..-

I znów począł biedz, coś szepcząc, szukając w każdym krzaku, w każdym gąszczu, i nagle podsamemi nogami zajaśniała mętna biała plama. Leżała tam Zineczka.

— Jezus! Cóż to jest? — z oczyma suchemi ale głosem lkającego człowieka, wyszeptał, upadłszy na kolana, dotknął się leżącej. Ręka jego wyczuła ciało nagie, gibkie, jędrne i chłodne, ale nie martwe, — i z dreszczem objął ją.

— Najdroższa moja, skarbie mój, biedactwo słodkie, to ja jestem, — szeptał, szukając w ciemności jej twarzy. Ale wszędzie piekło go to zimne ciało kobiety, gładkie, podatne, i jakgdyby ocieplające się pod dotknięciem rąk. Czasem Niemowiecki szybko odejmował rękę, ale niekiedy zatrzymywał ją dłużej

i tak jak między swoją szaloną rolą w tem wszystkim a rzeczywistością nie widział żadnego związku, tak i w tem obnażonem, biednem ciałku nie mógł odnaleźć dawnej Zineczki. To, co się tu stać musiało, to, co zrobili ludzie z tem niemem ciałem kobiety, ukształtowało się w jego świadomości w całej swej obrzydliwej formie.

Wyciągając tak dłonie, aż kości trzeszczały w palcach, utkwil wzrok swój na rozciągniętą przed nim białą plamę i zagryzł usta aż do krwi.

— Boże, cóż to jest? — powtórzył, ale głos jego był niby fałszywa nuta, niby wykręt.

Namacał serce: biło słabem tętnem, ale równo, a kiedy nachylił się do samej twarzy, uczuł słaby oddech, jakgdyby Zineczka nie była bezprzytomna, ale tylko pogrążona w śnie. Zawołał na nią cichutko.

— Zineczko, to ja.

I w tej chwili pomyślał, niewiadomo dlaczego że byłoby dobrze, gdyby ona zaraz nie przebudziła się. Wstrzymując oddech i obejrzawszy się szybko, pogłaskał ją lekko po twarzy i pocałował najpierw w przymknięte oczy, a potem w usta. Przeląkł się, czy się nie obudziła, odskoczył i zamarł w przerażeniu. Lecz ciało zostało niemem i nieruchomem, a w jego bezbronności było coś ogromnie wzruszającego, ale i ponętnego. Z czułością a zarazem ze złodziejską ostrożnością, próbował narzucać na nią część jej sukien, a różnorakie to odczuwanie sukna i nagiego ciała było ostre jak nóż, i przykre jak zgrzyt. Był równocześnie obrońcą i napastnikiem,

i szukał pomocy w otaczającym go lesie, ale ten był nieubłagany. Tu się odbywała uczta dzikich zwierząt, a w całym powietrzu była rozlana zmysłowość, rozszerzająca Niemowieckiemu nozdrza.

— To ja! Ja! — powtarzał bezmyślnie, cały pograżony we wspomnieniach widzianej kiedyś pończoszki i pantofelka, wysterczających z białego puchu spodniczek. Przysłuchując się oddechowi Zineczki przesunął ręką po sercu.

— Cóż to jest? — krzyknął rozpaczliwie i zerwał się, czując wstręt i bojąc się samego siebie. Przez sekundę zajaśniała przed nim twarz Zineczki i znikła. Usiłował zrozumieć, że to ciało — to jego Zineczka, ta sama, z którą chodził dzisiaj i rozprawiał o nieskończoności, ale nadaremnie; pragnął wyczuć całą grozę tego, co się stało, ale groza była zanadto wielka, jeżeli to wszystko musiało być prawdą, dlatego nie odczuwał j-jj wcale.

— Panno Zineczko! — krzyknął błagalnie. — Po co to wszystko? Panno Zineczko!

Ale ciało pozostawało niemem, a Niemowiecki upadł na kolana, szepcząc coś niezrozumiale. Błagał, zaklinał, groził, mówił, że się zabije, wstrząsał leżącą, podnosząc ją, obracając, przyciskając do siebie i prawie wpijając się paznokciami. Ciepłe ciało miękko poddawało się wszystkim jego ruchom, a takie to było w końcu okropne, że Niemowiecki znowu zerwał się i znowu krzyknął!

— Ratunku! — Lecz dźwięk ten zabrzmiał fałszywie, jak gdyby wykręt.

I znów rzucił się na bezsilne ciało, całując, płacząc, widząc przed sobą jakąś zabójczą zdradziecką otchłań, straszną, a jednak nęcącą. Niemowieckiego już nie było, Niemowiecki został gdzieś w tyle, a ten co był obecny, z lubieżną bezwzględnością obracał miękkie ciało w swych rękach i mówił, uśmiechając się chytrze, jak szaleniec:

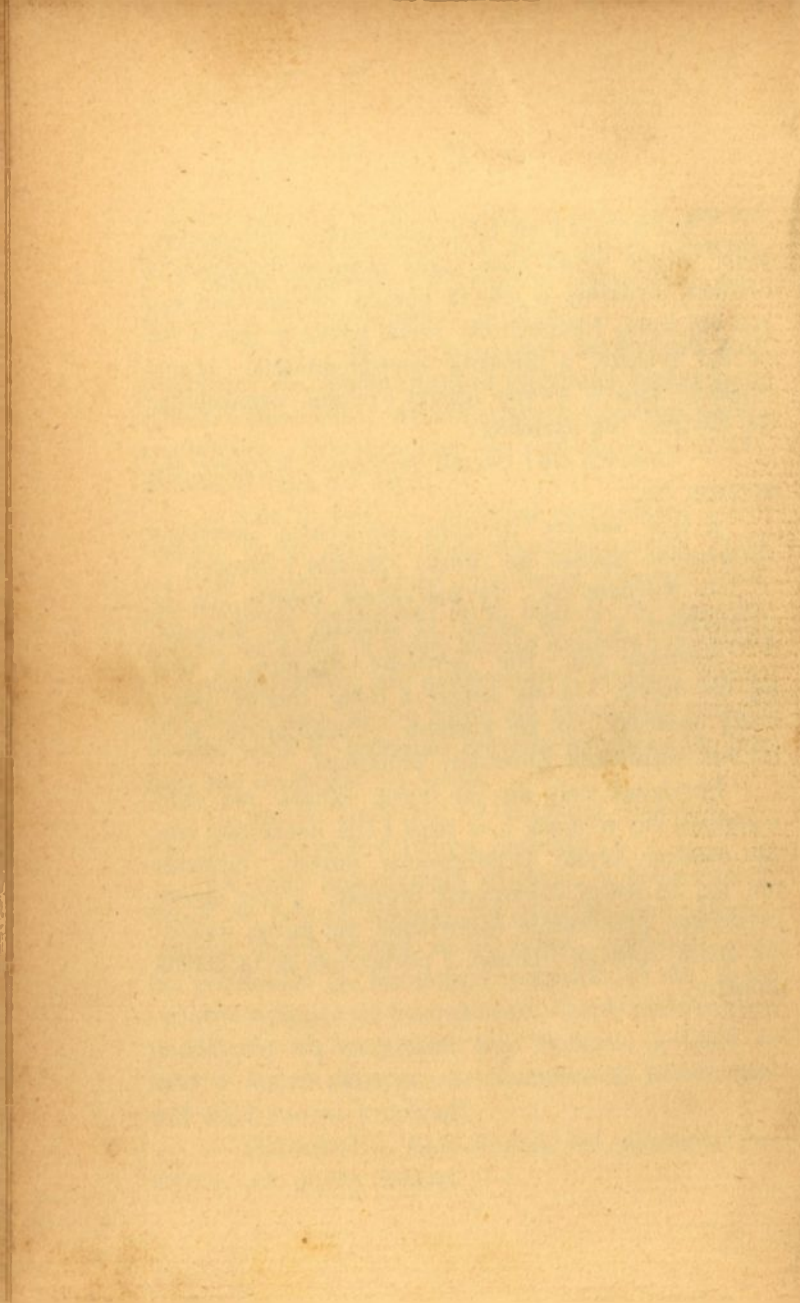
— Odezwij się! Czemu milczysz? Kocham cię, kocham cię.

Z tym samym chytrym uśmiechem przybliżał rozszerzone źrenice do twarzy Zineczki i szeptał:

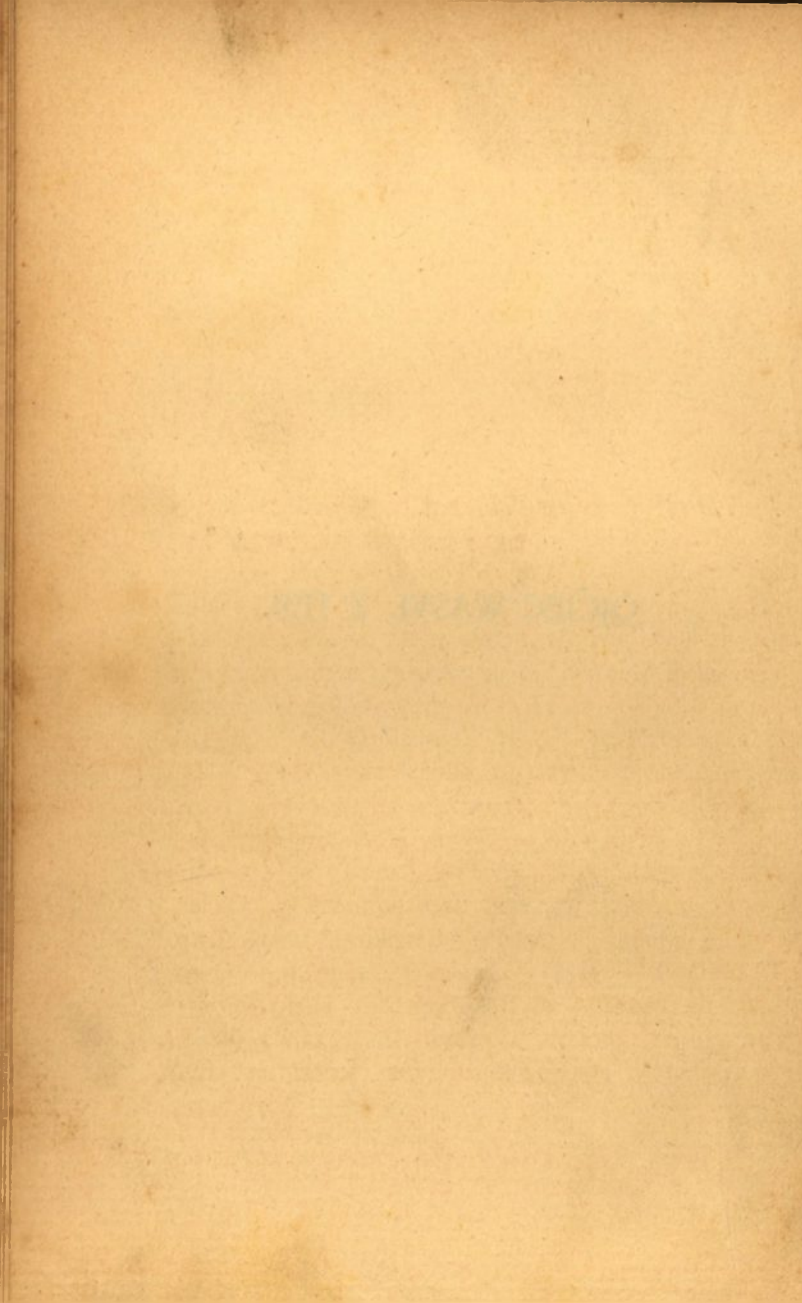
— Kocham cię. Ty nie chcesz mówić, ale się uśmiechasz, a ja to widzę. Ja kocham cię, kocham.

Kocham cię. Nie powiemy nikomu, i nikt się nie dowie. Ja się ożenię z tobą, choćby jutro, kiedy zechcesz. Ja cię kocham. Pocałuję cię, a ty mi nie odpowiesz. Zineczko! Zineczko!...

Przygnał cały do jej warg, czując, jak zęby w gryzają się w ciało, i w bólu i sile pocałunku tracąc ostatnie błyski przytomności umysłu. Zdawało mu się, że wargi dziewczyny drgnęły. Przez chwilę płomienne przerażenie rozświetliło mu mózg, ukazując zdala opętaną otchłań. I pochłonęła go ta czarna otchłań.



OJCIEC WASYL Z TEB



I.

Nad całym życiem Wasyla z Teb*), zaciężył gorzki i zagadkowy los. Od młodocianych lat dźwigał ciężkie brzemie cierpień, bólu i trosk, a rany jego serdeczne goiły się z trudnością i powoli. Pośród ludzi czuł się samotnym, niby planeta w kole obcych konstellacyi, a otaczała go ze wszech stron atmosfera duszna, tchnąca rozkładem, niby skłębiona chmura zarazków. Był on synem prostodusznego ojca, również kapłana, po którym odziedziczył pokorę i rezygnację, każącą mu zapomnieć o swym losie i prawie nie dostrzegać tego fatum, które konsekwentnie prześladowało go na każdym kroku jego żywota. Upadał, jak kłos podcięty, lecz podnosił się natychmiast, i igielkę po igielce, ziarnko po ziarnku znosił: odnawiał wciąż i umacniał swoje wątłe mrowisko na żmudnej drodze życia. A kiedy wyświęcono go na kapłana i ożenił się z młodą dziewczyną, z którą dochował się syna i córki, wówczas

*) Słynny stary klasztor prawosławnych zakonników w Grecyi.

pomyślał, że przecież szczęście mu sprzyja, i że wszystko u niego jest po Bożemu, jak być powinno. Więc błogosławił Stwórcę, gdyż wierzył w Niego uroczyście i niezbitcie: jako dobry kapłan i chrześcianin.

I zdarzyło się to w siódmym roku jego lepszej doli, w skwarne czerwcowe południe, poszły wiejskie dzieciaki kąpać się do rzeki, a razem z nimi syn O. Wasyla, także Wasyl, dzieciak drobny, czarniutki i pokornego serca jak i jego ojciec. I utonął Wasylek. Młoda „popadya“, która właśnie nadbiegła była wraz z ludźmi na miejsce wypadku, na zawsze zapamiętała ten prosty a jednak straszny obraz ludzkiej śmierci: więc głuche bicie serca, zda się ostatnie wykonujące odruchy; i tę niezwykłą czystość powietrza, po przez które snuły się znajome postacie, jakgdyby czarne lalki porcelanowe; i tę wyrazistość wypowiedzianych słów, z których każde, zda się nabrzmiewa w obrębie słyszenia w ołowiane kule i rozplywa się wśród potoku słów nowych. I odtąd zapłonęła nienawiścią do dni skwarnych i słonecznych. Mającą się jeź wówczas zawsze szerokie barczyste plecy, oblane słonecznymi blaski, bosa stopy, mocno wryte w łan kapuściany, i miarowe kołysania jakiejś białej, świetlanej substancji, na dnie której katula się filuternie leciuchne ciało, strasznie blizkie a równocześnie strasznie obce i dalekie. Wasię pochowali, i już kwiaty na jego mogiłce zakwitły, popadya długi jeszcze czas szeptała modlitwę wszystkich nieszczęśliwych matek:

— Boże! Boże! weź moje życie, tylko oddaj mi dziecię najśłodsze. — Wkrótce i wszyscy w domu poczęli bać się jasnych letnich dni, kiedy słońce dopieka dotkliwiej, a intensywniej odbija się w zwierciadle kłamliwej rzeki. W takie to dni, kiedy dokoła uśmiechała się cała przyroda, w domu O. Wasyla wszyscy przenikliwie wpatrywali się w „popadyę“, umyślnie podnoszono głos i śmiano się nienaturalnie, a ona wstawiała z fotelu, leniwa i ocieżała, rzucała błędne spojrzenia w stronę mówiących, od których to spojrzeń dreszcz przenikał ciało aż do szpiku i ospale wlekła się z kąta do kąta, uparcie szukając jakichś drobiazgów: kluczy, łyżek lub szklanek. Wszelkie tego rodzaju przedmioty umyślnie kładziono jej na widoku, lecz ona nie przestawała szukać, niepokojąc się tem silniej, im wyżej wznosiło się na nieboskłonie jasne, wesołe słońko. A potem podchodziła do męża, kładła zimną swą rękę na jego ramieniu i pytając szeptala:

— Wasylku! Wasylku?!

— Cóż, dziecko? — odpowiadał rezygnacją O. Wasyl i drżącymi opalonymi palcami głaskał i poprawiał jej rozburzone włosy. Była jeszcze młodą i piękną, a na znoszonej sutannie męża ręka jej leżała, jak rzeźbiona w marmurze: biała i ciężka. — Co dziecko? Może herbatki się napijesz? Pewnie zapomniałaś o herbacie...

— Wasylku, słuchaj Wasylku!? — powtarzała natrętnie, zdejmowała z ramienia męża tę obcą, marmurową rękę i znowu szukała, coraz niecierpli-

wiej, coraz bardziej nerwowo. Z domu schodziła do sadu, ze sadu na gumna, potem szła znów do pokojów, a słońce wznosiło się coraz wyżej, i widać było poprzez drzewa, jak lśni się i błyszczy ciepła a spokojna toń rzeczna. Krok w krok za matką wlokła się, czepiając się fałdów sukni jej córka, Naścia, poważna i zadumana, jakgdyby i na jej sześcioltniem sercu był już cień czarnej przyszłości. Skrupulatnie przyspieszała swoje drobne kroczki, stosując się do ociężałych, to znowu szybkich poruszeń matki i z podelba rzucała tęskne spojrzenia w głąb znajomego ogrodu, wiecznie osłoniętego kuszącą tajemnicą; a jej drobna ręka niedbale wyciągała się w stronę kwaśnego agrestu i machinalnie zrywała zielone jagody, kalecząc się o ostre kolce krzewów. A te iglaste kolce agrestowe, i jagody kwaśne, chrupiące w zębach, jak szkło, — wszystko to budziło w sercu taką rozpaczłą tęsknotę, że chciało się wyć i skowyczeć jak porzucone szczenię.

Kiedy słońce wzniosło się do zenitu w samo południe, „popadya“ na wszystkie spusty zamykała okiennice i drzwi, i wśród ciemności zalewała się alkoholem, topiąc w kieliszku całą tęsknotę i gorzki ból. Więc płakała i snuła opowieści głosem monotonnym, jak to było sobie taki czarniutki, cichutki chłopaczek, żył, śmiał się i umarł, i tak ciągle w kółko i znów to samo i znów to samo; a w jej śpiewnych, patetycznych opowieściach zmartwychwstawały jego oczy i uśmiech, i jego wcale nie dziecinne, rezolucyjne mędrkowanie.

— Wasylku, — powiadam raz do niego, — Wasylku, dlaczego męczysz kotka? Nie trzeba mu dokuczać, dziecino. Bozia nakazał nad każdym stworzeniem mieć litość; i nad konikiem, kociątkiem i nad kurczęciem nawet. — A to biedactwo podniosło wówczas na mnie dwoje jasnych ocząt i tak powiada: a dlaczegoż to nasza kotka nie ma litości nad ptaszkiem? Gołąbeczki wychowują sobie maleńkie dzieci, a kotka stare gołąbki podusiła. A ptaszynki teraz wciąż szukają, szukają matuchny“...

O. Wasyl słuchał jej skarg z pokorą, a tymczasem na dworze, pod oknem siedziała Naścia skulona pośród łopuchów, ostów i pokrzywy, i cichutko bawiła się lalką. A cała zabawa jej polegała na tem, że lalka umyślnie nie była posłuszną, a ona ją ustawicznie karała: więc wykręcała jej ręce i nóżki i chłostała pokrzywą.

Kiedy O. Wasyl pierwszy raz zobaczył żonę pijaną, i z twarzy jej pełnej wyrazu cierpienia i obłąkanego uśmiechu wyczytał, że to już jest nieuleczalne, — natenczas skurczył się cały i zachichotał cicho, bezmyślnie, zacierając ręce. Długo śmiał się w ten sposób i długo zacierał ręce, hamował się jednak, by śmiech ten nie rozbrzmiał zbyt głośno, więc odwrócony od zalanej łzami żony, parskał w kulkę sekretnie, jak sztubak.

Potem spowaźniał nagle, a wargi jego zwarły się, jakgdyby żelazem skute: nie umiał już wydobyć z nich ani słowa pociechy, ani pieszczoty dla żony. A kiedy ta wreszcie usnęła, potrzykroć przeżegnał

ją, odszukał w sadzie Naścię, pogłaskał ją po głowie i poszedł w pole. Długo tak włókł się ścieżynką wpośród wysokiego żyta i spoglądał w dół na miękki biały kurz, na którym widniały ślady czyichś bosych stóp, a obok nich męskich szerokich obcasów. Kłosy najbliższe były pogięte i połamane, niektóre pokładły się w poprzek ścieżki, a główki ich były spłaszczone i wbite w proch. Na skrócie O. Wasyl zatrzymał się. Przed nim i ze wszystkich stron kołysały się i płynęły jak rzeka na smukłych źdźbłach ciężkie kłosy, nad głową rozciągał się bezkresny czerwony błękit powleczoney białą mgłą od skwaru, a wokół — ani drzewka, ani domostwa, ani żadnej duszy ludzkiej... Był sam jeden, zapomniany w tem morzu kłosów, i pod wysokim baldachimem nieboskłonu. O. Wasyl wznosił w górę oczy, — oczy maleńkie, zapadłe, czarne, jak węgielki, a wystrzelały z ich głębin płomienie, niby odbite z pożogi słonecznej, — przyłożył dłonie do piersi i usiłował wypowiedzieć jakieś słowo. Drgnęły, lecz nie ustąpiły zwarte żelazne dźiąsła; zgrzytnąwszy zębami, pop przemógł ich opór, — a wówczas na podobieństwo chorobliwego ziewania, rozległo się jedno tylko ciche słowo:

— Wierzę. . . .

Bez oddźwięku pozostał i zatracił się w bezmiarach ten modlitewny jęk, raczej do wyzwania podobny. I jakgdyby kogoś namiętnie chciał przekonać i przestrzedz, powtórzył znowu:

— Wierzę...

Gdy wrócił do domu, znowu igłę po igielce, grudkę po grudce znosił i odnawiał swoje rozwalone mrowisko: pilnował dojenia krów, sam czesał Naści jej długie twarde kędziory, i nie bacząc na spóźnioną porę, wyjeżdżał milami do powiatowego lekarza by poradzić się co do zdrowia żony. A lekarz dał mu flaszeczkę z kroplami.

II.

O. Wasyla nie lubiano powszechnie. Bo i inszę odprawiał nieskładnie: głos miał ostry, marudził, albo znów tak spieszył się, że dyak ledwie mógł mu nadażyć. Interesowanym nie był, ale niezgrabnie odbierał wszelkie datki i wynagrodzenia, więc powszechnie uchodził za łakomego na grosz. Cała okolica wiedziała, iż jest nieszczęśliwym, i z pogardą odwracano się od niego, w każdym spotkaniu się z nim upatrując zły znak dla siebie. Na swoje imieniny, które obchodził 28 listopada, zapraszał na obiad wiele gości, a na jego niskie ukłony wszyscy odpowiadali protekcyjonalnie, lecz zjawiała się tylko służba kościelna, albo włościanie, a z inteligentnych parafian nie przychodził nikt. Wstyd było O. Wasylemu przed narodem, a najbardziej martwiła się żona, której psuły się i szły na marne przywiezione z miasta wina i zakąski.

— Nikt nawet przyjść do nas nie chce, — skarżyła się żałośnie, kiedy rozeszli się podpici

goście, nie umiejący ocenić ani drogich zakąsek, ani wytwornych trunków.

Najgorzej żył z popem wójt Iwan Porfiryecz Koprow; ten jawnie pomiatał osobą „fachowca“, a kiedy się dowiedział raz o opilstwie popadyi, przestał całować go w rękę. Dobroduszny dyak nadaremnie go upominał.

-- Wstydz się! Nie człowiekowi pokłon składasz, tylko stanowi.

Lecz Iwan Porfiryecz za nic w świecie nie chciał odróżnić stanu od człowieka i mawiał:

— Nie godny on tego. Ani siebie nie umie w karbach utrzymać, ani żony. Słyszane rzeczy, żeby żona duchownej osoby na śmierć się zapijała? Wstydz to, i sumienia nijakiego! Niechby tylko moja spróbowała tak do kieliszka zaglądnąć, tobym jej wszystkie kosteczki porachował. — Dyak z wyrzutem głową pokiwał i opowiadał o męczenniku pańskim, Jobie. Jak Bóg go umiłował i oddał złemu na pokuszenie, a potem stokrotnie za męki wynagrodził! Lecz Iwan Porfiryecz ironicznie się uśmiechał i bez żenady przerwał niemile sobie argumenta:

— Niema potrzeby opowiadać, wiemy sami. Job co innego, człek sprawiedliwy, wybraniec Boży, a on co za jeden? Gdzie jego sprawiedliwość!?

— Poczekaj: zada ci pop bobu, jak go w rękę nie pocałujesz. Z cerkwi wygoni, jak psa.

— Zobaczmy!

— Ano, zobaczymy.

Założyli się więc o ćwiartówkę wiśniówki: wygoni pop, czy też nie wygoni. I wójt wygrał: odwrócił się impertynencko, a wyciągnięta ku niemu opalona dłoń samotnie zawisła w powietrzu, zaś O. Wasyl zaczerwienił się tylko i nie rzekł ni słowa.

Po tym wypadku, o którym rozniosło się po całej wsi, Iwan Porfiryecz upewnił się jeszcze w przekonaniu, że pop to zły i niegodziwy człowiek i zaczął buntować chłopów, by poskarżyli się na O. Wasyla do kapituły i wyprosili sobie innego kapłana. Sam Iwan Porfiryecz był bogaty, bardzo bogaty, **BIBLIOTEKA** szczęśliwy i powszechnie poważany. Miał **UMOS** wyrazistą twarz, obrosłą gęstą brodą, a takie same **LUBER** włosy, jak na twarzy, rozeszły się po całym jego ciele, a w szczególności po nogach i piersi. Więc wierzył, że te włosy przynoszą mu osobliwe szczęście. Wierzył w to tak niezbicie, jak w Boga, uważał się za wybrańca Boskiego, był dumny, pewny siebie i zawsze wesół.

Podczas pewnej strasznej katastrofy kolejowej, w której poginęło mnóstwo narodu, on stracił tylko surdut zawałany gliną.

— A i ten był już stary! — dodawał zadowolony i uważał ten wypadek za specjalny znak Boży!

Wszystkich ludzi miał za łajdaków i durniów, nie uczuwał dla nikogo litości i własnoręcznie wieszal szczenięta, rok rocznie dostarczane obficie przez czarną suczkę, Cyganekę. Jedno ze szczeniąt, tęższe, zostawiał do rozplodu, a jeżeli go o to proszono, chętnie rozdawał pozostałe, uważał zresztą

psa za zwierzę pożyteczne. W sądach swoich był Iwan Porfiryecz prędko, lecz nie stanowczy, i łatwo od nich odstępował, ale za to czyny jego były jasne i prawie zawsze nieomyłne. Wszystko nadawało wójtowi pozór niezwykłości i wytrącało biednego popa z równowagi. Przy każdym spotkaniu on pierwszy pośpiesznie zdejmował swój szeroki kapelusz, odchodząc, czuł jak kroki jego stają się coraz bardziej przyspieszone, — jak kroki człowieka, przejętego wstydem i obawą, — i jak nogi w długiej sutannie tężeją i płaczą się.

Miał wrażenie, jakgdyby cały jego zagadkowy surowy los ucieleśnił się w tej gęstej, czarnej brodzie, w tej postaci dziwnej, rozrosłej; i jeśli tylko O. Wasyli na czas nie wniknie w siebie i nie ukryje się za ścianami swego domu, wówczas ta tusza zdusgo, jak mrówkę. Wszystko, co się tyczyło Iwana Porfiryicza Koprowa, interesowało popa tak, że niekiedy po całych dniach o niczem innem nie mógł myśleć, jak tylko o wójcie, jego żonie i dzieciach. Pracując w polu razem z chłopami, sam do chłopów podobny w swoich wysokich smarowanych mazią buciskach i grubej koszuli, O. Wasyl często zwracał wzrok swój ku wsi i pierwsze, co tam spostrzegł po cerkwi, to był czerwony żelazny dach wójtowego dwupiętrowego domu. Potem dopiero pośród pogiętej od wiatru, szarej zieleni wikliny i wierzb odnajdywał drewniany sierocy dach swojego domku; i była w tych dwóch tak odrębnych domostwach cała tragedia, co targała jego sercem.

Pewnego razu na Wniebowzięcie, popadya przyszła z cerkwi cała we łzach i opowiedziała, że Iwan Porfiryecz obraził ją. Mianowicie, gdy przechodziła do swojej ławki, powiedział ze swojego kantoru tak głośno, że wszyscy słyszeli :

— Tej pijaczki powinno się do cerkwi nie puszcząć. Wstyd!!

Popadya opowiadała i płakała, a O. Wasyl dopiero teraz spostrzegł, jak postarzała się i jak się zaniedbała od lat czterech t. j. od śmierci Wasylka. Była jeszcze młoda, ale już we włosach snuły się miejscami subtelne srebrne nici, białe zęby zczerniały a oczy spuchły. Palila teraz tytoń, i przykro było patrzeć, jak w rękach po kobiecemu, między dwoma palcami trzymała papierosa. Palila, zaciągała się i płakała naprzemiany, a papieros drżał w jej spierzchłych wargach, jak coś żywego.

— Boże, za co? Za jakie winy? Boże! — powtarzała płaczkliwie i z tępą obojętnością spoglądała w okno, za którem mżył drobny październikowy deszcz. Szyby były mętne od kropli deszczowych, a brzoza rosnąca w pobliżu nabrała szarego tonu i kołysała się ociężale. W domu nie palono jeszcze w piecach dla oszczędzenia paliwa, to też powietrze było duszne, wilgotne i nieprzyjemne.

— Cóż ty z nimi poradzisz, Naścienka! — usprawiedliwiał się pop, zacierając sztywne z zimna ręce. — Trzeba cierpieć!...

— Boże! Boże! I wstawić się niema komu!

Zawodziła — a w kącie z wiechy twar-
dych, nieczesanych włosów błyszcząły wilcze,
roziskrzzone oczy małej Naści. Z nadejściem nocy
popadya upiła się gruntownie, i wtedy to zaczęła
się dla O. Wasyla najstraszniejsza próba, o której
myśleć nie mógł bez rumieńca wstydu. W ciemności
zabitych okiennic, wśród mgły potwornych maja-
czeń i wizyi, zrodzonych podniętą, przy akompa-
niamencie tęsknych pieśni o straconym jedynaku,—
zrodziła się w mózgu pijanej myśl szalona: urodzić
drugiego syna, w którymby zmartwychwstał ten za-
tracony. Zmartwychwstanie jego rozkoszny uśmiech,
zmartwychwstaną oczka świecące cichym blaskiem,
i jego rozumne świergotanie, zmartwychwstanie
cały w piękności swego niewinnego jestestwa, jakim
był w ten dzień okropny, kiedy jasno rozgorzało
się słońko, i oślepiająco drgała toń rzeki — morder-
czyni. I płacząc cała w wybuchu żądz, przypadła
do nóg popa, błagając go o pieszczoty, łaszcząc się doń,
jak tygrysica.

Mizdrzyła się, robiła piękne, ponętne miny, wy-
zywająco i prosząco zarazem usiłowała rozbudzić
w nim te same instynkta, które opanowały jej całą
postać, nie pozbawioną jeszcze resztek dawnej uro-
dy; rozpacziwie usiłowała stać się tą samą upra-
gnioną i pieszczoszką, jaką była dziesięć lat temu,
więc nadawała swej twarzy wyraz dziewiczej na-
iwności i wstydu i szeptała dziewicze zaklęcia, ale
język odmawiał pijanej kobiecie posłuszeństwa, po-
przez opuszczone rzęsy coraz intensywniej rozbłyskał

plomień żądy, — a z marmurowej twarzy jej męża nie schodził wyraz przerażenia. Zakrywał rękami rozpaloną głowę i szeptał bezwładnie :

— Nie trzeba! Nie trzeba!

Wówczas upadła przed nim na kolana i błagała kornie:

— Zmiluj się! Oddaj mi Wasylka! Oddaj popie! Powiadam ci, oddaj, przeklęty!! — Tymczasem w zabite okiennice natrętnie stukał jesienny deszcz, i głębokie westchnienia szły w przestworza z głębi rozpacznej nocy.

— Więc nie chcesz?! Nie chcesz? — krzyknęła i w obląkanem pragnieniu macierzyństwa rozdierała na sobie suknie, bezwstydną, obnażającą się od stóp do głowy, straszna i żywiłowa, jak bachantka, a biedna i tragiczna, jak matka, przejęta tęsknotą do swego dziecięcia. — Nie chcesz? Więc ci przysięgam na Jezusa Chrystusa: pójdę na ulicę! Goła pójdę! Pierwszemu mężczyźnie na szyję się rzucę. Oddaj mi syna, przeklęty, ty!!

I namiętność jej pokonała wreszcie zmysłowego popa. Przy przeciągłych jękach nocy jesiennej, przy dźwiękach obląkanych słów i przekleństw, kiedy zda się samo kłamiące życie obnażało swoje ciemne, tajemnicze wnętrza, — wtenczas to w jego zmęczonym mózgu wyrosła, jak zarzewie, myśl zbożna: o jakimś cudownem zmartwychwstaniu, o możliwości cudu. Na obląkaną żądę żony, on, zmysłowy i ogarnięty przerażeniem pop, odpowiedział taką samą żądzą, w której mieściła się i nadzieja świetlana,

i misteryum tworzenia, i bezmierna rozpacz wielkiego grzesznika.....

Późną nocą, kiedy żona zasnęła, O. Wasyl wdział czapkę i kij, i nie ubierając się, okryty tylko starą sukienną sutanną, skierował swe kroki w pole. Cienka warstwa wilgotnego błota rozciągnęła się na powierzchni ziemi; różnicy nie było między czarnością nieba i ziemi, a w otchłaniach nocy gubił się samotny człowiek; stuknęła laska o kamień przydrożny i nastąpiła długa cisza.

Daleko za wsią, wiele wiorst od domostw rozległ się w ciemnościach niewidzialny głos. Był zagłuszony przestrzenią i tak smętny, jak sam ból. Ale słowa, które wypowiedział, płomienne były, jak ogień niebieski.

— Wierzę w Ciebie, Boże Wszchemogący, — tak mówił głos niedostrzegalny. A były w nim groźba i błaganie, nadzieja i przestroga zarazem.

III.

Z nadejściem wiosny popadya zaszła w ciążę, przestała pić, i znowu życie w domu O. Wasyla rozpogodziło się ku radości całej rodziny. Nie znaczyło to, iżby los zaprzestał zupełnie zadawać od czasu do czasu dotkliwych ciosów; to zdechl im dwunastopudowy paciuk przeznaczony na sprzedaż; to znowu Naścia nabawiła się na całym ciele jakichś krost nie do uleczenia, — ale wszystkiego tego nie brano

sobie bardzo do serca, a popadya skrycie nawet była zadowolona i wierzyć wciąż nie chciała swemu ogromnemu szczęściu, a wszystkie te zmartwienia uważała za odwet, równoważący to szczęście. Zdawało się jej, że jeżeli zdechnie ulubiony paciuk, zachoruje Naścia, lub jakie inne nieszczęście ich nawiedzi, to już za to napewne przyszłego syna ominie zło. Za niego oddałyby nietylko Naścię, ale i siebie, i duszę swoją w ofierze, dla tego fatum bezlitosnego, co się ustawicznej ofiary domaga. Wylaśniała, przestała bać się Iwana Porfiryicza, a w cerkwi, idąc do swojego kąta, dumnie podawała naprzód dobrze już zaokrąglone łono i na wszystkie strony rzucała śmiało, wyzywające spojrzenia. Ażeby w jakiś sposób nie zaszkodzić dziecku, zaniechała grubszej domowej pracy i po całych dniach znikwała w rządowym lesie, gdzie zbierała grzyby i kwiaty. Obawiała się bardzo połogu i podług różnych znanych jej znaków na grzybach sądziła, czy połóg będzie bolesny i udatny, czy też nie; najczęściej dowiadywała się, że wszystko skończy się szczęśliwie. Niekiedy wśród zeszlorocznych wilgotnych liści, pod gęstym baldachimem wysokich gałęzi odnajdywała całą rodzinę białych grzybków: oparły się o siebie przyjaźnie ciemne ich główki, i ta naiwność ich przypominała jej maleńkie dzieci, budząc w sercu tkliwe wzruszenia. Z pięknym uśmiechem samotnego człowieka, którego myśli są jasne i pogłębione, rozgarniała ostrożnie dookoła grzybków pulchną popielatą ziemię, siadała obok i długo wpatrywała się w nie,

trochę blada od zielonych refleksów, ale zrównoważona, pokorna i dobra. Potem szła znowu, kołysząc się charakterystycznym krokiem kobiety brzemiennej, a gąszcz leśny, tulący w swych tajemnych ciemniach małe grzybki, miał dla niej urok jakiegoś żywego, przyjaznego jestestwa. Raz wzięła Naścię, ale ta dokazywała, skakała, robiła hałas, snuła się pośród krzaków jak rozbawiony wilczek, przeszkadzając matce w myśleniu; więcej jej już ze sobą nie brała do lasu.

Zima przeleciała jak cichy, pełen marzeń sen. Wieczorami popadya szyla pieluszki i poduszcзки, cała przezroczysta i różowa w subtelnem świetle abażuru lampy i pogrążona w cudnem zadumaniu. O. Wasyl, bojąc się przerwać jej rozmyślenia, chodził w pantoflach po pokoju, a kroki jego były delikatne i bezgłośnie. I w duszy jego była wielka pogoda i ukojona radość na widok tej żony i tego miłego pokoju, zasłanego kwiecistym dywanem. Dusza jego opromieniona była uśmiechem, i nie spozstrzegał nawet tego, że na czole jego między brwiami legł cień życiowej troski. Bo i w takie dni rozradowania nie opuszczała go świadomość owego fatum, które konsekwentnie nad strzechą jego zawisło.

Na Jordan, w późną noc popadya szczęśliwie zległa i wydała na świat chłopca, któremu na chrzcie świętym dano imię Wasyla. Miał on dużą głowę i cienkie nóżki, a w wyrazie jego szklistych oczu mieściła się tępa bezmyślność i nieruchomość. Trzy lata spędził pop z żoną w trwodze, zwątpieniu i na-

dziei, a po trzech tych latach nie było najmniejszej wątpliwości, że nowonarodzony Wasylek był idyotą.

Poczęty w szale, idyotą na świat przyszedł.

IV.

Minał jeszcze jeden rok w ciężkim skamieniałym bólu, a kiedy rodzice i domowi ocknęli się i rozglądnęli dokoła siebie, — nad wszystkimi myślami i nad całym ich życiem zaciężył straszny obraz idyoty. Jak dawniej, palono w piecu i gospodarowano, jak i dawniej rozprawiali ludzie o tem i owem, ale nikomu się żyć nie chciało, i dlatego cały ład wkrótce runął. Robotnicy popadali w lenistwo, nie słuchali rozkazów i odchodzili bez opowiedzenia się, a tych, którzy ich zastąpili, chwytala taka tęsknica i apatya, że poczęli pić i sarkać. Obiad podawano raz wcześniej, raz późno, i zazwyczaj kogoś przy stole brakło: to popadyi, to Naści, to nawet samego O. Wasyla. Nazbierało się mnóstwo podartej bieliżny, a popadya zapewniała wciąż, że trzeba zacerować mężowi skarpetki, i niby cały dzień cerowała, a tymczasem skarpetki zawsze były podarte, a O. Wasyl ranił sobie stopy. Po nocach wszyscy kręcili się nerwowo na pościeli i męczyli się od ukąszeń pluskiew; wylazily one ze wszystkich szczelin, w oczach wszystkich pełzały po ścianach, i w żaden sposób nie można było powstrzymać ich wstrętnego najścia. Nie było chwili, w którejby zapomniano, że tam

w półciemnym pokoju siedzi straszny potworek. Popadya często wychodziła z domu w odwiedziny do znajomych i często całemi godzinami przesiadywała u żony dyaka, — ale i tam nie znajdowała spokoju, jakgdyby między nią a małym idyotą rozciągnęła się nić pajęcza, wiążąca ich nierozzerwalnie i na wieczność.

A choć pójdzie na kraj świata i skryje się za wysokim murem klasztoru, choć w ziemię ją zakopią, — to i tam, do mogiły sięgnie owa nić, i omota trwogą i niepokojem.

Niespokojne były ich noce: przez mózg w obłąkanych wizjach snuły się potworne światy szaleństwa, a nad całym tym chaosem górował niepojęty obraz półdziecka, półzwierzęcia.

Miał lat cztery, ale jeszcze nie umiał chodzić, a wymawiał tylko jedno słowo: „Daj“. Był zły i natrętny, a jeżeli mu czegoś odmawiano, darł się w niebogłosy i wyciągał ręce z palcami, skurczonymi konwulsyjnie. Nieporządny był, jak młode zwierzątko, wyczekiwał wciąż chwili, kiedy zbliży się ktoś do niego, by zmienić pod nim zanieczyszczoną pościel, a ile razy nachyliła się ku niemu głowa matki lub siostry, wpijał się zdradziecko pazurkami w ich włosy, wyrrywając całe ich garście. Raz ukąsił Naścię. Ta powaliła go na łóżko i długo, bez litości biła go, jak gdyby to nie człowiek był, ni dziecko, ale kawał mięsa; od tego czasu zaczął kąsać częściej i wyszczerzał zęby, jak pies. Ogromną trudność sprawiało karmienie potworka: łakomy i niecierpliwy,

nie umiał obliczać swoich poruszeń; przewracał filiżankę, dławił się, a widok jego wzbudzał wstręt i obrzydzenie: na dziecinnych ramionach siedziała czaszka z ogromną nabrzmiałą twarzą, jak u starca. A w tej dysproporcji między ciałem a głową mieściła się cała tragedia, i zdawało się, że to jakieś psotne dziecko ubrało na twarz ogromną i straszłą maskę.

Biedna matka zaczęła pić aż do utraty przytomności, ale nawet najmocniejsze dawki alkoholu nie zdołały wyrwać jej ani na chwilę z tego żelaznego jarzma, jakim było dla niej życie w pobliżu syna idyoty. I zdawało się jej, że po raz drugi pochowała Wasylka i zakopała go głęboko w ziemię. W przerażeniu miotała się po izbie i wołała męża:

— Wasyl! Wasyl! Prędziej, tu, do mnie! O. Wasyl przychodził, siadał pogrążony w milczeniu w ciemnym kącie; a był tak spokojny, jakgdyby te wszystkie krzyki snem tylko były. Oparty podbródkiem na suchej dłoni, zastygał w tem grobowem milczeniu, a tymczasem popadya starannie przymykała drzwi, za któremi chował się idyota. Znosiła stoły, krzesła, robiła barykady z pościeli i sukien, ale wszystko to zdawało się jej niedostatecznem. Z wysiłkiem człowieka podnieconego wódką podnosiła ciężką starą komodę, przysuwała ją ze zgrzytem do drzwi, rysując podłogę.

— Odsuń krzesła! — krzyczała zadyszana do męża, a ten wstawał, przesuwając meble, poczem znowu siadał w swoim kącie.

Na chwilę uspokojona siadała także, ciężko odychając ze zmęczenia, lecz zrywała się natychmiast i odgarniając rozpuszczone włosy, przysłuchiwała się w osłupieniu temu, co się za ścianą działo :

— Wasyl, słyszysz ? Ty słyszysz ? Dwie czarne plamy patrzyły na nią martwo z ciemnego kąta, a głos martwy i apatyczny odpowiadał jej stamtąd :

— Tam cicho teraz. On śpi. Uspokój się, Naściu.

Popadya uśmiechała się radośnie, jak małe dziecko, i przysiadła się na sam koniuszek krzesła ;

— Prawdę mówisz ? On śpi ? Czyś widział ? Nie kłam : bo to grzech.

— Tak, sam widziałem. On śpi.

— A któż tam mówi ?

— Tam nikogo niema. To ci się pewnie zdawało.

A ją chwytala taka radość, że wybuchala rozgłośnym śmiechem, żartobliwie kręciła głową i odgrażała się dłonią — jakgdyby jakieś lichy z niej zakpić pragnęło i nastraszyć ją, a ona zrozumiała jego intencję i teraz śmieje się. Ale śmiech ten padał jakgdyby w otchłań bez dna i tam zamierał ; jeszcze usta skrzywione były w grymas śmiechu, a już w oczach rosło zimne przerażenie. I taka cisza następowała potem, jakgdyby w tej izbie nie było żywej istoty od dawien dawna ; z rozrzuconych poduszek, z porzucanych krzeseł, takich komicznych, jeżeli się patrzy na nie z dołu, i z ciężkiej komody, stojącej krzycząco nie na swoim miejscu,—

zawszad zbliżalo się przecucie i głodne oczekiwanie okropnej nędzy, jakiej dotąd żadna myśl ludzka pojąć nie zdołała.

Obróciła się w stronę męża, — tam w czarnym kącie majaczyła się jakaś długa czarna postać; nachyliła się bliżej — patrzyła się w nią twarz, ale nie oczyma, ukrytymi pod czarnym cieniem brwi, lecz białymi plamami odbitego na czole światła. Wówczas cała dreszczem przejęta, szeptala ze skargą:

— Wasylku! Boję się ciebie! Jaki ty straszny! Chodźże tu do światła.

O. Wasyl posłusznie podreptał do stołu, a ciepłe jaśnienie z lampy upadło mu na twarz spokojną i bez wyrazu jakiegokolwiek trwogi. Tego było dość dla popadyi, ażeby ją pocieszyć na chwilę. Zbliżywszy wargi blisko ucha męża, szeptala:

— Popie, hej, popie! Pamiętasz Wasylka.... tamtego Wasylka.

— Nie.

— Hm — hm! — zachichotała. — Też nie. Ja także nie. Straszno ci, popie? Powiedz? Straszno?

— Nie...

— A dlaczego jęczysz przez sen? Dlaczego jęczysz?

— Tak sobie. Nie jestem zdrów.

Wybuchła niedobrym śmiechem.

— Ty? Ty niezdrów? Proszę ja kogo?! — Ty? — i uderzyła palcem jego kościstą ale szeroką pierś. — Po co kłamiesz?

O. Wasyl milczał. Popadya obrzuciła pogardliwym spojrzeniem jego dawno nie strzyżoną brodę, rozsypaną nierówno po wpadłych policzkach i odwróciła się:

— Brr... Jakiś się zrobił obrzydliwy! Zły taki i zimny, jak żaba. Brr!... Czyżem ci winną, że on się takim urodził? No, mów-że!! O czym tak myślisz? O czym tak ciągle myślisz, myślisz, myślisz?

O. Wasyl milczał uparcie i badał grę twarzy biednej swej żony. A kiedy ucichały ostatnie dźwięki jej gorączkowych słów, grobowa cisza żelaznymi kolcami ze wszystkich stron dusiła ją, ścisnęła jej pierś i mózg, wówczas mówiła jakgdyby wypluwając pośpieszną niespodzianą tyradę:

— A ja wiem!... A ja wiem! Wiem, popie!

— Co ty wiesz?

— Wiem, o czym myślisz. Ty, — tu popadya zatrzymała się dla nabrania oddechu, — ty... w Boga nie wierzysz. O! co!

A kiedy skończyła, poczuła, jak straszne wymówiła słowa, i uśmiech błagalny, o przebaczenie proszący, rozsunał jej nabrzmiałe wargi, pokąsane i spalone wódką. I radość ją ogarnęła, gdy pop ostro i stanowczym głosem odrzekł:

— Nieprawda. Uważaj, co mówisz. Ja wierzę w Boga.

I znowu milczenie, znowu cisza, — ale już ukojna i pieszcząca ciało, jak ciepła woda. Spuściła wzrok i zapytała zawstydzona:

— Pozwolisz, Wasylku, — napiję się troszkę? Prędeż zasnę, i tak już późno. Nalewała sobie szklanekę wódki do pełna i wypijała do dna maleńkimi łykami, jak piją kobiety. W piersi rozpały się ognie, wyrastało pragnienie jakichś haszyszów, podniecień, śmiechów.

— Wiesz co, Wasylku? Zagrajmy sobie w durnia. Zawołaj Naścię. To dopiero będzie pociecha! Okrutnie lubię grać w durnia. Wasyleczku kochany, zawołaj ją, zawołaj! Pocałuję cię za to.

— Późno już. Ona śpi.

Popadya tupnęła nogą:

— Zbudź zaraz! — Idź-że!!

Przyszła Naścia, cienka, wysoka, jak ojciec, z dużemi, zapracowanemi rękami; było jej zimno, zakrywała się więc mocno krótką welnianą chustką i w milczeniu mieszała zatłuszczoną talię kart.

Zasiedli potem do wesolej i śmiesznej gry, — wśród chaosu poprzewracanych i poprzesuwaných mebli, w noc późną i ciemną, kiedy już spali ludzie, spały zwierzęta i łąki. Popadya żartowała, śmiała się, wykradała z talii atuty, i zdawało się jej wówczas, że wszyscy żartują i śmieją się; ale niech tylko usta zamknie, znowu ta sama cisza dusi ją i męczy. Strasznie wyglądały dwie pary kościstych rąk, poruszających się bez szelestu po stole, jak-gdyby tylko te ręce były żywe, a nie korpusy do nich przynależne. Mruczając coś pod nosem, piła znowu wódkę, a tymczasem ktoś czwarty pojawiał się przy stole: drapieżnie pokurczone palce przebierały karty,

potem przysuwały się ku popadyi, biegły jak pająki, wzdłuż kolan, podchodziły do gardła...

— Kto tu? Jezus Marya!! — krzyczała i zrywała się z miejsca, ździwiona tem, że wszyscy stają też i wpatrują się w nią z przerażeniem. A było ich tylko dwoje: mąż i Naścia.

— Uspokój się, dziecko. To my. Więcej nie ma nikogo.

— A on?

— On śpi.

Popadya usiadła, i przez chwilę wszystko przestało jej wirować przed oczyma, a twarz O. Wasyla miała wyraz anielskiej dobroci.

— Wasylku! A cóż my zrobimy, jak on znacznie chodzić?

Naścia wtrąciła się do rozmowy.

— Dzisiaj dawałam mu kolacyę i widziałam, że ruszał nóżką.

— Nieprawda, — rzekł pop, ale słowo to zadźwięczało głucho — i nagle w szalonym wicherze zakłębiło się — zawirowało wszystko, iskry posypały się, niby błędne ogniki, a ze wszystkich stron rozkołysały się ku popadyi majaki bez oczu. Huśtały się i niezgrabnie wlażyły na nią, darły na niej odzież, dusiły za gardło, wpijały się we włosy i dokądś wlokły. A ona czepiała się podłogi połamanymi paznokciami i krzyczała, jak obłąkana.

Więc biła głową o ziemię, szarpała się do ucieczki i darła na sobie konwulsyjnie suknie. A tak była silną w tym ataku szału, że nie mogli dać jej

radę O. Wasyl z Nastką, i trzeba było wołać kucharkę i robotnika. We czworo zmogli ją, związali ręcznikami ręce i nogi i ułożyli na łóżku. Pozostał przy niej sam tylko O. Wasyl. Stał jak statua przy łóżku i śledził wzrokiem jej nerwowe drgawki i lzy ciekące strugą z pod powiek. Ochryplym głosem błagała :

— Ratunku! Ratunku!

Straszny był ten krzyk, na który nikt nie odpowiadał. Jak całun owinęła go ponura i tępa cisza, a wywrócone nóżki krzeseł niezgrabnie wypięły się, świecąc gwoździemi. Głos ścichł i nabierał wyrazu bólesci. — Ratujcie! Boli! Nie mogę już... Wasylku, drogi mój Wasylku...

O. Wasyl dziwnie spokojnie wznosił obie ręce w górę i chwycił niemi swoje włosy, jak w kleszcze, ale natychmiast opuścił je w dół bezwładnie, a między palcami drżały długie, srebrzyste nici.

V.

Wśród ludzi, ich spraw i rozmów O. Wasyli czuł się tak odosobnionym, tak izolowanym od wszystkiego na zewnątrz, jakgdyby był nie żywym człowiekiem, a tylko jego skorupą. Robił wszystko, co robili inni, rozumiał, jadł, pił, ale czasem zdawało się, że on tylko naśladuje poruszenia żywych istot, a sam żyje w jakimś oderwanym świecie, niedostępnym dla nikogo.

Kto go widział, mimowoli zapytywał się: o czem ten człowiek myśli? — tak wyraźnie odbijało się to głębokie zadumanie we wszystkich jego poruszeniach. Nieraz trzeba było dwa razy z rzędu krzyknąć jego imię, ażeby usłyszał i odwrócił się; często nie spostrzegał ukłonów i dlatego uchodził za pysznego. Raz nawet nie odklonił się Iwanowi Porfiry czowi; ten najpierw się zadziwił, a potem szybko dopędził wolno kroczącego popa.

— Skądże to taka pycha, ojczulku! Już i uklonąć się nie chcecie! — zaczął ironicznie. O. Wasyl podniósł na niego zdziwiony wzrok, zaczerwienił się zlekka i przepraszał:

-- Darujcie, Iwanie Porfiry czu: nie spostrzegłem.

Wójt surowo, z góry chciał spojrzeć na popa, lecz tu poraz pierwszy zauważył, że pop wyższy od niego, choć ow uważał siebie za najwyższego wzrostem w całej okolicy. Odkrycie to o tyle wpłynęło na wójta, że najniespodziewaniej rzekł:

— Zajdźcież kiedy do mnie, proszę was.

I długo obracał się i mierzył oczyma popa. I O. Wasylowi zrobiło to przyjemność na chwilę: a już po paru krokach to samo zamyślenie, ciężkie, jak kamień młyński, przygniotło dobre wrażenie, odniesione ze słów wójta, i w drodze ku ustom zgmiotło cichy i nieśmiały uśmiech. I znowu myślał — o Bogu i o ludziach, i o tajemniczych losach ludzkiej niedoli.

A stało się to podczas spowiedzi; zakuty w swojej pracy myślowej, O. Wasyl monotonnie zadawał

jakiejś staruszce zwykle pytania, kiedy nagle spostrzegł ku swemu ogromnemu zdziwieniu coś, nad czem dawniej nigdy się nie zastanawiał: on stoi i najspokojniej wypytuje o najbardziej mistyczne i duchowe tajnie i odczucia, a jakiś obcy człowiek spogląda mu w oczy z trwogą i opowiada całą prawdę—tę prawdę, do której nikt oprócz niego niema prawa. A pomarszczona twarz staruchy nabrała naraz jakiegoś mistycznego blasku, wobec którego światło dzienne mrokiem było. I nagle, przerywając jej wyznania, zapytał:

— A czy ty tylko prawdę mówisz, stara?

Ale nie słyszał tego, co mu odpowiedziała — spadła mgła z jego oblicza i lśnięciami jak gdyby obmytymi zdrojem życia oczyma patrzył w twarz kobiety, a twarz, ta była osobliwa — i miała odblask jakiejś świetlanej i wielkiej prawdy o Bogu i o życiu. Na czole staruchy pod perkalową chustą O. Wasyl spostrzegł rozdział — szarą rysę skóry wśród starannie gładzonych siwutkich włosów. A ten smutny znak troski życiowej był też prawdą i to najwymowniejszą. I tu po raz pierwszy w ciągu swego czterdziestoletniego życia O. Wasyl Tinejski pojął wzrokiem i słuchem, i wszystkimi innymi zmysłami, że oprócz niego są jeszcze na ziemi inni ludzie — istoty do niego podobne, którzy znają własne życie, własną nędzę, — i własny los.

— A dzieci masz, kobieto? — zapytał szybko, znowu przerywając jej wyznania.

— Umarły, ojcze.

— Wszystkie umarły? — zadziwił się.

— A dyć co do jednego, — powtórzyła, i oczy jej zaszyły wilogocia.

— A jak że ty żyjesz?

— Jakie tam nasze życie, — zapłakała starszka. — Ot, jak kto da jałmużnę, to i żyję, a nie, to zdycham z głodu.

Podawszy szyję naprzód, O. Wasyl z wysokości swego ogromnego korpusu wpijał się w staruchę oczyma i milczał. A podłużna koścista twarz jego, oświetlona aureolą siwych włosów, wydała się staruszce tak niezwykłą i straszną, że ręce jej, złożone na piersi, zastygły jak lodowate.

— No, możesz już iść, — zabrzmiał nad nią rozkazujący głos.

. . . Dziwny czas zaczął się odtąd dla O. Wasyla, i dziwne przewroty rodziły się w jego duszy. Dotychczas było tak: istniała malutka ziemia, a na niej żył jeden tylko ogromny O. Wasyl ze swoją ogromną troską i ogromnemi zwątpieniami; a teraz nagle ziemia spotężniała, wyrosła, i cała zaludniła się ludźmi, podobnymi do O. Wasyla. Było ich mnóstwo, a każdy z nich po swojemu żył i po swojemu cierpiał. Wśród nich to O. Wasyl czuł się tak samotny, jak dąb na środku pola, koło którego wyrósł nagle gęsty i bezkresny bór. Niema dziś pustki dokoła siebie, nie jest sam jeden, — ale i słońce się przed

nim skryło, i dale bezmierne, a tylko mrok naokół włada.

Wszyscy ludzie odkrywali mu prawdę. Odczuwał ją łatwo, ale jej nazwać nie umiał i łakomie szukał nowych twarzy i nowych mów. Spowiadających się w poście zimowym miał mało, ale każdego z nich trzymał godzinami i wypytywał się drobiazgowo, natrętnie, wkradając się z najsubtelniejsze misterye duszy, dokąd człowiek tylko z nabożeństwem i trwogą zagląda. I już w niedługi czas pojął O. Wasyl, że ci ludzie, wywnętrzający przed nim samą prawdę, jak przed Bogiem, właściwie nie znają sami prawdy i istoty swojego życia. O. Wasyl z wolna uświadamiał ją sobie to, jako rozpacz i szaloną trwogę, to znowu jako litość, gniew lub nadzieję. I był po dawnemu niedostępny i surowy, ale mózg i serce jego już formowały się w ogniu tej niepoznawalnej prawdy, i nowe życie wstępowało w jego starcze ciało.

We wtorek, w ostatnim tygodniu przed Bożem Narodzeniem, O. Wasyl późno wrócił z cerkwi; w ciemnych wilgotnych ścianach zatrzymała go czyjaś ręka, i głos ochryply wyszeptał:

— Wasyl, nie idź tam.

Z przerażenia, drgającego w głosie, rozpoznał żonę i zatrzymał się.

— Całą godzinę już czekam na ciebie, przemarzłam na wskroś, — zazgrzytała zębami od nagłego wstrząśnienia dreszczu.

— Co się stało? Chodźmy.

— Nie! nie. Słuchaj! Naścia... wchodzę, a ona stoi przed lustrem i stroi miny zupełnie, jak on, i rękami, jak on...

— Chodźmy...

Przemocą wciągnął do pokoju opierającą się żonę, i tam, drżąc ze strachu i zimna, popadya opowiedziała mu wszystko. Szła do pokoju, ażeby polać kwiaty i widzi: Naścia stoi cichutko przed lustrem, a w lustrze odbija się jej twarz, ale nie taka jak zwykle, ale jakaś dziwnie bezmyślna, z dziko wykrzywionymi ustami i oczyma w ślup. Potem, tak samo cichutko podniosła ręce, skurczywszy palce, jak tamten idyota, wyciągnęła je sztywnie do swego odbicia — a wszystko to było takie straszne i tak do prawdy niepodobne, że popadya krzyknęła głośno i przewróciła szklankę. A Naścia uciekła. I teraz ona nie wie na pewne, czy to była rzeczywistość, czy jej się tylko przywidziało.

— Zawołaj Naścię, a sama odejdz, — rozkazał pop.

Przyszła Naścia i zatrzymała się u progu. Twarz jej była posłuszna i koścista, jak u ojca, a stanęła teraz w takiej pozie, jak on zwykle stawał przy dyskusjach: wyciągnąwszy szyję naprzód i rzucając spojrzenia spodełba. A ręce trzymała za sobą, jak on.

— Naściu! Po co ty to robisz? — zapytał O. Wasyl surowo ale spokojnie.

— Co?

— Matka widziała ciebie przed lustrem. Po co ty to robisz? Przecież on jest chory.

— Nie, on nie jest chory. Szarpie mnie za włosy.

— Po co stroisz takie grymasy, jak on?

— Czy ci się to tak podoba?

Naścia odwróciła twarz.

— Nie wiem, — odpowiedziała. Potem z dziwną szczerością spojrzała ojcu w oczy i dodała stanowczym głosem: — tak! podoba mi się.

O. Wasyl wpatrywał się w nią i milczał.

— A tobie się nie podoba? — zapytała Naścia.

— No nie.

— A dlaczegoż o nim myślicie ciągle. Jabym go zabiła.

O. Wasylowi zdawało się, że w tej chwili twarz Naści miała ten sam wyraz, co u idyoty: coś zwierzęcego zadrgało w jej rysach.

— Wynoś się! — rzekł ostro. Ale Naścia nie ruszyła się z miejsca i z tą samą szczerością patrzyła ojcu w same oczy. I twarz jej nie była już podobną do wstrętnej maski potworka.

— A o mnie nie myślicie wcale, — powiedziała krótko, jak nagą prawdę.

I wtedy to wśród napływającej mgły zimowych wieczorów między tymi dwoma ludźmi tak bliskimi a tak równocześnie dalekimi następująca zaszła rozmowa:

— Wszak ty moja córka? Dlaczegoż ja o tem nie wiedziałem? Czy ty wiesz dlaczego?

— Nie.

-- Chodź, pocałuj mnie.

— Nie chcę.

— Nie kochasz ojca?

— Nie. Nikogo nie kocham.

-- Tak, jak i ja! — i nozdrza popa rozděły się od hamowanego śmiechu.

— Ojciec także nikogo nie kocha? No a mamę? Ona tak strasznie pije. Jabyłm ją też zabiła.

— A mnie?

— Ciebie nie. Przynajmniej odzywasz się do mnie. Zresztą mnie ciebie żal czasem. To bardzo przykro, ja wiem, kiedy taki syn — durnowaty... On okrutny złośnik. Nawet pojęcia nie macie, jaki on zły. Żywe szwabę zjada. Dałam mu sama dziesięć sztuk, a on wszystkie zjadł.

Nie odchodząc od drzwi, przysiadła się ostrożnie na sam koniuszek krzesła, jak służąca; złożyła ręce na kolanach i czekała.

— Nudno, Naściu! — rzekł pop po chwili.

Odpowiedziała poważnie.

— Oj, to prawda, że nudno.

-- A modlisz się czasem?

— Jakżeby nie. Tylko wieczorem, rano nie, bo roboty mnóstwo. I zamieść, i posłać, i naczynia pomyć. Dla Waśki herbatę zaparzyć i podać, — wiecie przecież sami, ile roboty.

— Jak pokojówka, -- rzekł cicho O. Wasyl.

— Co znowu? — nie zrozumiała Naściu. O. Wasyl milczał, nisko głowę pochyliwszy; ogromny był

i czarny na tle jasnych szyb, a słowa jego wydały się Naści takie czarne i lśniące jak czarne szkło. Długo czekała, ale ojciec milczał, więc zawołała pierwsza:

-- Papo!

Nie podnosząc głowy, O. Wasyl rozkazująco poruszył ręką, -- raz i drugi. Naścia westchnęła i podniosła się z krzesła, lecz ledwie doszła do drzwi, coś zaszeleściało za nią, dwie silne dłonie podniosły ją w powietrzu i śniesznie drżący głos wyszeptał w same ucho:

— Obejmij za szyję. Odniosę cię do łóżka.

— Co wam jest? Przecież ja duża!!

— Nic nie szkodzi. Trzymaj się mocno.

Ciężko było oddychać, bo ręce ojca ścisnęły ją jak żelazne obręcze; trzeba było nachylić się we drzwiach, ażeby nie uderzyć się w głowę, i nie wiedziała właściwie, czy dobrze jej, czy tylko dziwnie. I nie wiedziała także, czy się jej zdawało, czy naprawdę ojciec jej rzekł szeptem:

— Żałuj matkę.

Ale zmówiwszy już pacierz wieczorny i kładąc się do snu, Naścia długo siedziała na łóżku, pogrążona w głębokim zamyśleniu. Szczupłe jej plecy ze sterczącymi kośćmi łopatek i wyraźnie zarysowanym stołem pacierzowym zgarbiły się silnie; brudna koszula opadła z ramienia; objąwszy rękoma kolana i kołysząc się, podobną była do czarnego, rozgniewanego ptaka, chwyconego w polu przez mróz.

Potem, wpatrzona w przestrzeń z wyrazem zaciętości, wyszeptwała pośpiesznie:

— A ja bym ją przecież zabiła.

W późną noc, kiedy już wszyscy spali, O. Wasyl na palcach wszedł do pokoju, a twarz jego była jak zwykle skupiona. Nie spojrzawszy na Naścię, postawił lampę na podłodze, a sam nachylił się nad śpiącym idyotą. Leżał na wznak, z piersią podaną naprzód, i rękoma w górze, a twarz jego powleczone była bladością i z lekka zaróżowiona światłem lampy. Nie wydawała się teraz tak straszną, była tylko zmęczona, jak twarz spracowanego aktora, a usta skrzywiły się w grymas głębokiego smutku. Jakgdyby dwie dusze posiadał, i kiedy jedna pogrążona była we śnie, budziła się druga, boleściwa i wszechwiedząca.

O. Wasyl wstał i znowu nie spojrzawszy ani przez chwilę na Naścię, wyszedł.

Była godzina świtu, i drugie już piałły koguty.

VI.

Przyszędł Wielki post. Głucho zaterkotał dzwon kościelny, a dźwięki jego długo się roznosiły po wilgotnem powietrzu, zanim zaczęły schodzić się nabożni do małej wiejskiej cerkiewki.

Kiedy włościanin Semion Mosiagin po trzykroć wybił pokłony i ostrożnie stąpając przysunął się do popa — ten patrzył na niego przenikliwie i surowo i stał w pozie, nie stosownej do chwili; wyciągnąwszy głowę naprzód, złożywszy jedną rękę na piersiach, a drugą skubiąc brodę, Mosiagin podszedł cał-

kiem blisko i zdębiał: pop spoglądał na niego ironicznie i chichotał cichutko, rozdymając nozdrza, jak koń.

— Tóż ja ciebie już od dawna oczekuję, — rzekł po chwili. — Pocoś przyszedł, Mosiagin?

— Wypowiadać się, — szybko odpowiedział Mosiagin i wyszczerzył poufale zęby tak białe, jak śnieg, a tak równe, jakgdyby były obcięte nitką.

— Cóż, lżej będzie na sercu, jak się wypowiadasz, co? — mówił dalej O. Wasyl i uśmiechał się przyjaźnie. Tak przynajmniej zdawało się Mosiaginiowi. Więc takim samym uśmiechem odpowiedział:

— Ma się rozumieć, że lżej.

— A czy to prawda, żeś konia sprzedał i ostatnią owcę, a furę zastawił?

Mosiagin poważnie i z widocznym niezadowoleniem popatrzył się na popa: twarz jego miała wyraz powagi, a oczy spuścił w dół. I obaj milczeli chwilę. Potem O. Wasyl nagle odwrócił się do konfesyonału i rozkazał:

— No, wyliczaj grzechy.

Mosiagin odkaszlnął, nadał swej twarzy uroczysty wyraz i ostrożnie, pierś i głowę podawszy ku kapłanowi, półgłosem zaczął mówić. Im dalej postępowała jego tyrada, tem poważniejsza, tem bardziej niedostępną była twarz popa, — jakgdyby kamieniała pod gradem dotkliwych, nudnych jak lukrecya wyznań chłopa. I oddychał pośpiesznie i sapliwie: jakgdyby dławiąc się w tej tępej zawartości życia niejakiego Semiona Mosiagina, obwijającej się koło

niego niby pierścieniem węzowym. Całe jego fantastyczne życie jak gdyby wyłączyło się z pod przemożnego prawa konsekwencji: tak niespodzianie, tak śmiesznie i niezgrabnie spajały się w niem malutkie, nikłe grzechy z wielkiem cierpieniem, tęga żywiołowa emocya w kierunku również żywiołowej twórczości, — i potworne zawieszenie gdzieś na granicy pomiędzy życiem a śmiercią.

Sprytny a nawet złośliwy, silny jak tur, cierpliwy do tego stopnia, jak gdyby miał trzy serca, że kiedy rozwiewało się jedno znieznośnych cierpień, wówczas dwa inne dawały życie nowemu, — mógł, zda się, całą ziemię obrócić naodwrot, na której tak niezgrabnie, ale tak mocno postawił swoje nogi. A w rzeczywistości działał się inaczej: był wiecznie głodny, i głodną była jego żona i dzieci i jego bydło, a skolatany mózg błędził, jak pijany człowiek, nie umiejący trafić do drzwi swojej izby. W rozpaczliwych porywach twórczych rozciągał się na ziemi, i wszystko rozsypywało się, waliło i odpowiadało mu tylko dzikim śmiechem i drwinami. Był dobrego serca mimo pozornej złośliwości, a nawet wziął do siebie sierotę-znajdę na wychowanie, i wszyscy ganili go za to; sierota-znajda pożył jakiś czas i umarł wreszcie z głodu i zimna; wtedy to on, Mosiagin, zaczął robić sobie wyrzuty i stracił pojęcie o tem, czy należy być ludzkim i miłosiernym, czy też to jest marność i strata czasu. Zdawałoby się mogło, że lzy nie powinny usychać nigdy na oczach tego człowieka, że krzyki, skargi i gniew nie po-

winny zamierać na jego uśmiech, — a on tymczasem był zawsze wesół i żartobliwy, i brodę miał taką wesolą, płomiennie-rudą, w której każdy włos jak gdyby okręcał się w komicznym pląsie. Brał udział w procesyach razem z parobkami i młodemi dziewczkami; na pogrzebach śpiewał płaczące pieśni, wzruszające do łez, jednakowoż z twarzy jego nawet i w takiej chwili nie schodził ironiczny cichy uśmiech.

Grzechy jego były nikłe, formalne: więc geometra, którego wozil na odpust, dał mu pieroga z mięsem, a on zjadł go, choć to był post; — opowiadał to tak rozwlekle, jak gdyby tu chodziło nie o złamanie postu, ale conajmniej o morderstwo; — o znowu rok temu przed Komunią zapalił papieroska — i o tem mówił nudno i długo.

— Skończyłem! — wesóło i już głosem podniesionym rzekł Mosiagin i otarł pot z czoła.

O. Wasyl obrócił ku niemu twarz:

— A kto ci dopomaga?

— Któż miałby mi pomagać? — powtórzył chłop. — Nikt. Ludzie dziś skąpi, sam wiesz, ojczu. Zresztą raz Iwan Porfiryecz dopomógł, — mrugnął zezem do popa: — dał trzy pudy mąki, a pod jesiń coś około cztery.

— No, a Bóg?

Semion westchnął i posmutniał.

— Bóg? Ano, widać, żeś niegodny.

Nudne były te niepotrzebne zapytania; dlatego Mosiagin przez ramię spojrział w stronę pustej nawy cerkiewnej, ostrożnie porachował włosy w rzadkiej

brodzie popa, spostrzegł jego nadpsute czarne zęby i pomyślał:

„Widocznie musi dużo cukru jeść“. I westchnął znowu.

— Na cóż ty czekasz?

— Na co czekam? He? A na co miałbym czekać?

Znowu milczenie. W cerkwi było już ciemno, a mróz wstrząsał odkrytą piersią chłopca.

— Więc to samo będzie i dalej? — zapytał pop, a słowa jego podobne były do grudek ziemi, rzucanych do ciemnej mogiły.

— Więc to samo będzie dalej... To samo, to samo — powtórzył Mosiagin, wsłuchując się we własne słowa.

I uświadomił sobie to, co się składało na jego życie: głodne twarzyczki dzieci, niesnaski rodzinne, katorżna praca i ciężkość okrutna na sercu, od której chce się pić wódkę i bić kogoś; i będzie to trwało długo i ciągle aż śmierć nadejdzie. Mrużąc pośpiesznie oczy, chłop obrzucił popa mglistem, łzawem spojrzeniem i napotkał jego wzrok ostry i lśniący — i obaj dojrżeli nagle w sobie coś pokrewnego, co było tylko smutkiem samym i bólem, i skargą. Bezwładnie pochylili się ku sobie, i O. Wasyl położył rękę na ramieniu chłopca; ręka ta była lekka, jak jesienna przedza pajęcza.

Mosiagin drgnął, podniósł oczy pełne zaufania i rzekł, uśmiechając się półgębkiem:

— A może popuści trochę? Co?

Pop odjął rękę i milczał.

Mosiagin porwał ją, jak ukluty i zaszeplecił:

— Tak. Znaczy to, że nie ulży. Wiedziałem...
Zresztą mówcie prawdę, ojcze...

Ale pop nie dał mu dokończyć. Tupnął nogą i obrzucił chłopca gniewnem spojrzeniem, sycząc, jak rozwścieklony wąż:

— Nie bezcz! Nie waż się płakać! Ryczą mi tu, jak cieleta. Cóż ja mogę zdziałać? — tknął się w pierś palcem.

— Co ja mogę? Czyż ja jestem Bogiem? Powiedz. Jego prosź. Prosz, mówię! Ty...

Pchnął chłopca.

— Na kolana, sługo Boży!

Mosiagin nie ruszał się.

— Módl się!

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, chłop szybko przeżegnał się i zaczął bić pokłony. Od szybkich, miarowych poruszeń korpusu, od świadomości, że całe jestestwo jego zależne było obecnie od jakiejś nadprzyrodzonej siły — wzbierał go strach na przemiany z błogością.

Coraz zawzięciej przyciskał czoło do zimnej kamiennej posadzki, aż wreszcie pop rzekł rozkazująco:

— Dość.

Mosiagin wstał, przeżegnał się przed najbliższymi zawieszonymi obrazami, a kiedy znowu podszedł do popa, zawirowały znów wesolo płomiennie-rude włoski.

Teraz wiedział już na pewne, że mu ulży, i posłusznie oczekiwał dalszych rozkazów.

Lecz O. Wasyl raz jeszcze spojrzal swoim zwykłym krytycznym wzrokiem i odpuścił mu grzechy. Wychodząc, Mosiagin obrócił się: na tem samem miejscu rozlewała się ciemna sylweta popa; słaby blask jednej woskowej świecy nie mógł oświetlić całej postaci, więc zdawała się być tylko częścią mroku, zapelniającego cerkiew. Z dniem każdym coraz więcej przybywało O. Wasylowi spowiadających się. Coraz natrętniej i coraz groźniej wypytywał ich i całemi godzinami karmił słuch swój ich trucizną i mglistą mową, a każda z nich była samem oczekiwaniem, cierpieniem i trwogą. Wszyscy krytkowali życie, ale nikt nie chciał umierać, bo wszyscy czekali jeszcze na coś, czego sami dobrze nie rozumieli...

Oczekiwanie to datowało się gdzieś od pierwszego człowieka, przeszło przez miliony mózgów i serc jak przez filtry i stąd zapewne nabrało takiej intensywnej mocy.

A przepojone było goryczą, bo wzięło w siebie cały smutek zawiedzionych nadziei, cały ból okłamaney wiary, całą płomienną tęsknotę samotności i sieroctwa.

Karmiły go soki żywotne wszelkich istnień, i rozrosło się tęgim konarem na życiowej glebie...

Chwilami zbłąkany wśród rzeszy dusz, jak podróznik w głębi nieskończonego boru, zatracal pop cale cierpienie własne i sam poczynal czekać na

coś — czekać niecierpliwie, nerwowo. Nie chciał więcej widzieć lez ludzkich, ale one płynęły lawą, a każda była wyznaniem, a wszystkie, niby igły, wpijały się w jego serce. Wówczas zrozumiał, że nie był władcą ludzi, ni ich kierownikiem, że nie był nawet sąsiadem, — lecz sługą ich i rabem.

Coraz częściej mawiał:

Jego proś, Jego proś!

I odwracał się od nich, aby ukryć na twarzy wyraz swej bezsilności i niemocy.

A w nocy żywi ludzie przemieniali się w cienie wizyjne i bez szelestu towarzyszyli mu w snach, myśląc razem z nim — a ściany jego domostwa stały się przezroczyste, niby ze szkła, a opłotki czerwieniły się krwawymi liśćmi. Ognistą wstęgą rozwijały się nad jego skołataną czaszką dzikie, opętańcze sny...

W piątym tygodniu Wielkiego Postu, kiedy pola rozwoniały wiosną, a mrok nabrał szafirowych refleksów, popadya zapłała się na śmierć. Piła cztery dni z rzędu, krzyczała ze strachu i tłukła się o ściany, aż w sobotę pod wieczór zgasła w swym pokoju lampkę oliwną, skrzyła z ręcznika pętlę i powiesiła się na drzwiach. Lecz ledwie zaczęła się dusić, strach ją zdjął i podniosła krzyk, a że drzwi były otwarte, nadbiegł zaraz O. Wasyl z Naścią i zdjęli ją ze sznura. Skończyło się na strachu, a zresztą nic jej się stać nie mogło, bo ręcznik był

zawiązany tak nieudolnie, że uduszenie się było wykluczonem. Najbardziej przelęła się sama popadya i płakała i prosiła o przebaczenie; ręce i nogi jej trzęsły się, a przez cały wieczór na krok nie odstępowała męża, tuląc się do niego jak mogła najbliżej.

Na prośby jej zapalono znowu zgaszoną lampkę w pokoju i świece przed wszystkimi obrazami, jak gdyby obchodzono w domu jakieś wielkie święto. Po pierwszym przestraszu O. Wasyl prędko uspokoił się, a nawet żartował przy sposobności; opowiedział coś bardzo śmiesznego ze swoich seminaryalnych czasów, potem przeszedł na tło dalekiego dzieciństwa, aż do tych chwil, kiedy razem z innymi kradł jabłka. I tak trudno było sobie przedstawić, że strażnik ciągnął go kiedyś za uszy, że Naścia nie uwierzyła i nie zaśmiała się, chociaż sam O. Wasyl śmiał się dziecinnie, a twarz miał w tej chwili dziwnie odmłodzoną i dobrą. Po chwili popadya uspokoiła się zupełnie, przestała płakać, a gdy Naścia udała się na spoczynek, spytała się cichutko i filuternie męża:

— Przeląkłeś się?

Twarz O. Wasyla zachmurzyła się, kiedy odpowiedział:

— Pewnie, że się przestraszyłem. Cóż najlepszego chciałaś uczynić?

Popadya drgnęła i rzekła, bawiąc się frendzlami swojej wełnianej chustki:

— Nie wiem, Wasylku. Taka tęsknica za serce chwyciła. I strach wziął... Tak się bałam czegoś. Coś

się dzieje naokół, a ja nic nie mogę zrozumieć... Teraz mamy wiosnę, a po niej będzie lato. Potem znów jesień i zima. I znowu będziemy siedzieć tak jak w tej chwili — ty w tym kącie, ja w tamtym. Nie gniewaj się na mnie, Wasylku, ja rozumiem, ja wiem, że inaczej nie można. Ale zawsze...

Westchnęła i mówiła dalej, nie podnosząc oczu :

— Dawniej śmierci się nie bałam. Myślałam poprostu, zrobi mi się kiedyś niedobrze, no i umrę. A dziś boję się śmierci, tak się boję!... I co robić mam, Wasyleczku, co robić, kochanie? Znowu... pić?

Popatrzyła się z tęsknotą na męża, a tęsknota ta była ogromna, a ból i skarga mieściła się w jej głosie.

W mieście, gdzie pop chodził do szkół, widział raz pewnego, jak tłusty tatar prowadził na dobiecie kobyłę: miała złamane kopyto, wiszące na jednej żyłce, a stąpała po kamieniach pokrzwioną kostką. Było zimno wówczas, a biała mgła otulała rudą sierść biednego stworzenia, a oczy... ach, te oczy przerażone i straszne swoim niemym wyrazem cierpienia i bólu. Takie same oczy miała teraz żona. I pomyślał, że gdyby znalazł się ten, ktoby wykopał mogiłę, własnymi rękoma wrzucił tam tę kobietę i żywą zasypał ziemią, — ten postąpiłby dobrze i słusznie.

Popadya tymczasem usiłowała rozpalić drżącą wargą dawno zgasłego papierosa i mówiła znowu:

— Albo on. No, wiesz, o kim ja... Pewnie, to jeszcze dziecko, pożał się Boże, ale jak wyrośnie,

zagryzie mnie na śmierć. I znikąd niema ratunku, ni pociechy. Poskarżyłam się przed tobą na swój los, no i cóż z tego? Co robić, co robić?...

Westchnęła i rozłożyła ręce.

— Jezu!! — zabrzmiało rozpaczliwe łkanie z piersi popa. Zerwał się, przewracając z hałasem krzesło i szybko zaczął po pokoju biegać, tam i napowrót, tam i napowrót, coś szepcząc i potykając się o meble, jak ślepiec lub szaleniec.

Gdy dochodził już do ściany, wówczas obmacywał ją koślawymi palcami i biegł w stronę przeciwną; i tak krążył po izbie, jak po klatce, niby cień fantastycznie wyginany od wiatru dębu. A w przeciwstawieniu do szalonego rozpędu ciała, oczy pozostawały nieruchome, jak u ślepca, i zaszyły łzami — pierwszemi od śmierci Wasylka.

Zapomniawszy o sobie, żona z przerażeniem śledziła każde poruszenie męża i wrzasła:

— Wasylku, co ci jest, na Boga? Wasylku, no?!

O. Wasyl zatrzymał się nagle, podszedł do żony tak szybko, jak gdyby chciał ją zdusić i położył rękę swoją na jej głowie. Trzymał ją tak długo, jak gdyby błogosławiąc i ochraniając przed złem. I rzekł, a głos jego brzmiał jak srebro:

Biedna, biedna...

I znów biegać począł, ogromny i straszny w swojej rozpacz, jak zwierz, któremu odebrano młode.

— Biedna. Biedna. Wszyscy biedni. Wszyscy płaczą. I niema temu końca! O-o-o!!!...

Zatrzymał się znowu i, podniósłszy wzrok w górę i objąwszy spojrzeniem powalę i mgłę wiosennej nocy, krzyknął groźnie:

I Ty to widzisz a znosisz! Więc masz, widzisz Ty?... — Podniósł wysoko ściśnięty kulak, ale u nóg, chwyciwszy go za kolana, tarzała się już w histerycznym ataku żona i mruzczała, zalewając się łzami, to znowu śmiejąc się dziko:

— Nie trzeba! Nie trzeba! Hu, hu!... Gołębiczku mój!... Już więcej nie będę!...

Przebudził się idyota i zapłakał w drugiej izbie; nadbiegła przerażona Naścia — a wargi popa zwarły się, jak żelazo. Troskliwie zaopiekował się żoną, ułożył ją do łóżka, a kiedy zasnęła, przesiedział przy niej do rana, trzymając jej rękę w swoich. A przez całą noc płonęły przed obrazami światła, tak, że izba wyglądała jak gdyby przystrojona we wilię wielkiego święta.

Na drugi dzień O. Wasyl był już takim, jak zwyczajnie — skupiony, spokojny i ani jednym słowem nie wspomniał o tem, co się stało. Jednak głos jego, gdy zwracał się do żony, był dziwnie miły, co tylko ona jedna swem zmęczonem sercem wyczuć mogła.

Mówili ze sobą mało i rzadko tylko spędzali chwile we dwoje, rozdzieleni warunkami życia — ale sercem brzemieniem w cierpienia szukali się nawzajem i nikt, najdomyślniejszy z ludzi, ani sam

nawet los ich srogi przypuścić nie mógł, jak beznadziejnie, jak mocno kochali się oboje. Już od dawna, bo od urodzenia idyoty, przestali być dla siebie mężem i żoną i podobni byli raczej do pary kochanków, którym brak nadziei szczęścia, a marzenie ich już nigdy ucieleśnić się nie zdoła. Więc nie dziw, że odezwała się w kobiecie dawna wstydlivość i pragnienie przypodobania się, czerwieniła się, gdy mąż ujrzał przypadkiem obnażoną jej pierś, zrobiła coś takiego ze swoją twarzą i włosami, że nabrały znów świeżości i w swoim smutku dziwnej piękności. A kiedy wezbrała w niej dawna tęsknica bezmierna, zapijała się wprawdzie, ale znikwała na ten czas w mroku swojej sypialni, jak chowają się psy, czujące początek wścieklizny, i tam w samotności znosiła męczarnie walk z wizjami i obłędem. Każdej nocy, kiedy już wszyscy pogrążeni byli w śnie, skradała się cicho do łóżka męża i żegnała go krzyżem, odpędzając mu z głowy tęsknotę i złe sny. Chciałaby wówczas ucałować jego rękę, ale nie śmiała i wracała na palcach, jak widmo troski i cierpienia.

VII.

Jeszcze noc królowała nad obnażonemi ze śniegów polami, i jeszcze marły w oczekiwaniu słońca strumienie leśne, kiedy na wszystkich ścieżynkach i gościńcach ukazywać się zaczęli ludzie i gęsiego dążyli wszyscy ku jednemu celowi, w stronę wiejskiej samotnej cerkwi.

I każdego dnia od rana do późnego wieczoru przed O. Wasylem stawały obce twarze, to oświetlone żółtym blaskiem woskowych świec, to znów złane szeregiem sylwet z ciemnością kątów świątyni — zda się całe powietrze, które cerkiew pomieścić mogła, ucieleśniło się obecnie w rzeszę ludzi, czekających łaski i sprawiedliwości. A każdy z nich tyle miał tych grzechów, że starczyłoby ich i na dziesięć takich marnych egzystencji, a oszołomiony pop miał wrażenie, że cały świat ziemski przyniósł mu łzy swoje i męki i czeka od niego zbawienia — czeka rozkazująco, natrętnie.

Niegdyś szukał prawdy, a dziś dławił się tą nielitościwą prawdą cierpienia i w świadomości niemocy swojej i nieporadności chciałby biedz na kraj świata, umrzeć, zapomnieć!... Zaweźwał nędzę ludzką, a nędza przysła w całej swojej królewskiej wspaniałości.

I chciał każdego, kto się garnął do niego, wpół objąć i mówić mu: „Biedny mój przyjacielu, walczmy razem i zacznijmy poszukiwania. Bo znikąd nie masz dla człowieka wyzwolenia“. Lecz nie tego pragnęli zmęczeni życiem ludzie, więc z rezygnacją powtarzał wszystkim:

— Jego proście, Jego...

Kiedy pop ostatni już opuszczał dom Boży, panowała tam głucha ciemność, na niebie błyszczały figlarne gwiazdeczki, a wiosenne łagodne powietrze pieśczośliwie rozlewało się w przestworzu. Lecz on nie ufał gwiazdom, bo zdawało mu się, że

spokój ich i rozradowanie pochodzi jedynie z wielkiej ich odległości, i że stamtąd też płyną w nieskończoność „uniwersum“ jęki i błaganie o pomoc.

I wstyd mu było, tak, jak gdyby to on wszystkie te zbrodnie popełnił i serca ludzkie na strzępy potargał.

Każdego rana szedł do cerkwi tak, jak idą ludzie na haniebne skazanie, w którym katami są: i bierne niebo, i bezmyślnie gapiący się tłum, i własna najzaciętsza myśl. Katem dlań był każdy z tych męczenników, a wszyscy byli nadmiernie poważni. Nikt z popa się nie śmiał, a jednak były takie chwile, w których ten z dreszczem oczekiwał wybuchu jakiegoś satanicznego śmiechu i bał się obracać do ludu plecyma. Albowiem wszystko zło za plecyma człowieka się rodzi, a dopóki on patrzy prosto w oczy, nikt nie odważy się na niego napaść.

Więc patrzy wciąż, męcząc wzrokiem, a często też zwraca się w tę stronę, gdzie przy kantorku siedzi Iwan Porfiryicz Koprow.

On jeden głośno rozmawiał w cerkwi, handlował świecami i woskiem i dwa już razy posyłał strażnika i dwóch dziadów, by zbierać pieniądze.

Potem hałaśliwie rachował miedziaki, układając je w rulony i zawijając w papierki, a kiedy wszyscy upadali na kolana, on tylko pochylał głowę i żegnał się. I widać było, że uważa siebie za blizkiego i potrzebnego Bogu i wie, że bez niego nie dałoby się wszystko ułożyć tak składnie i po Bożemu. Na O. Wasyla gniewał się za to, że ten tak długo spo-

wiadał: nie mógł pojąć, jak ci ludzie mogą mieć tak interesujące i duże grzechy, o których warto było rozprawiać. Kładł więc to O. Wasylowi na karb nieumiejętności życia i obcowania z ludźmi.

— Ty myślisz, że oni to ocenią? — mówił do dobrodusznego dyaka, strudzonego, jak i cała służba kościelna, wielkopostną pracą. — Nie warto. Jeszcze śmiać się będą z niego.

Podobało się mu natomiast to, że O. Wasyl był surowy, a dalej, że miał taką imponującą postawę; prawdziwy kapłan winien być, tak jak ów rządca, który domagać się ma wiernego i drobiazgowego sprawozdania i którego bać się należy. Sam Iwan Porfiryecz pościł zazwyczaj cały Wielki Tydzień i długo przygotowywał się do spowiedzi, starając się przypomnieć sobie i zebrać najdrobniejsze grzeszki. I dumny był z tego, że grzechy jego są w takim samym ładzie, jak i jego interesy.

W Wielką Środę, kiedy siły opuszczały już O. Wasyla, miał on najwięcej grzeszników. Ostatni przyszedł niegodny sługa Boży, chłop Tryfon, kaleka, włóczący się na swoich szudłach po Znamieńsku i okolicy. Zamiast nóg, niegdyś zmiażdżonych we fabryce i odciętych po sam brzuch, miał krótkie drewnienka, obite skórą; na ramionach, podniesionych szudłami, siedziała głęboko wrośnięta głowa z obrzydliwą brudną brodą i beczelnymi oczyma żebraka, pijaka i szubrawca. Był tak wstrętny, jak obślizgły gad, a dusza jego była również ciemna i tajemnicza, jak dusza zwierząt. Trudno było pojąć,

jak może żyć podobna istota, a jednak on żył, pił, bił się przed karczmą, a nawet miał kobiety, jakies fantastyczne, nieprawdopodobne kobiety, równie mało podobne do człowieka, jak on. Sam O. Wasyl musiał pochylić się nisko, ażeby mózdz wypowiedać kalekę, i tem wyraźnie odczuł, jak bezpowrotnie pozbawionym jest ten człowiek wszelkich przywilejów człowieka, do których miał przecież takie same prawo, jakie mają królowie w swych pałacach i święci w swych celach. Drgnął całym ciałem.

— Idź sobie! Bóg odpuszcza ci winy, — rzekł nerwowo.

— Zaczekajcie. Jeszcze opowiem, — zastękał żebrak, podnosząc zaczerwienioną twarz.

I opowiedział, jak to dziesięć lat temu zgwałcił w lesie podlotka-dziewczynkę i dał jej, zapłakanej, trzy kopiejki; a potem żal mu się zrobiło swoich pieniędzy, więc zadusił ją i zakopał. I tak ją znaleźli. Setki razy już rozmaitym popom opowiadał tę historję, i przez to nabrała dla niego cechy zwyczajności i codzienności, coś, jak gdyby ciekawa i straszna powiastka. Nieraz też zmieniał drobne szczegóły: Więc lato przemieniało się w jesień, dziewczynka była raz blondynką, to znów szatynką, — ale trzy kopiejki zostawały niezmienionemi. Niektórzy nie wierzyli mu i śmieli się z niego, zapewniając, że od lat dziesięciu żadna dziewczynka w okolicy nie została zamordowana; wyłapywali go na różnych sprzecznościach i udowadniali mu, że całą tę bajkę wymyślił po pijanemu, walając się

w rowie lub gdzieś w lesie. A to przyprawiało go o wściekłość: krzyczał, zaklinał się, przyzywając na świadka czarta i Boga i zaczynał dla przekonania opowiadać takie cyniczne i obrzydliwe sceny, że nawet najstarsi kapłani czuli się tem oburzeni i zgorszeni.

I teraz czekał, czy znamieński pop uwierzy, czy też nie, i kontent był, że pop uwierzył: odskoczył bowiem od niego, pobladł i podniósł rękę jak do ciosu:

— Czy to prawda? — spytał grobowym głosem.

Żebrak szybko zaczął się żegnać:

— Dalibóg, prawda. Żeby mnie tak jasny piorun trząsał...

— Ależ za to męki piekielne! — krzyknął pop. — Ty to rozumiesz, męki piekielne!!

— Bóg łaskaw, — mruknął dziad, zmieszany.

Ale ze złych i przestraszonych oczu jego widać było, że on już oddawna na to piekło czeka i już przywykł do tego, jak i do tej dziwnej opowieści o zgwałconej dziewczynce.

— Na ziemi piekło, w niebie — piekło. Więc gdzież twój raj? Żebyś był płazem, robakiem, tobym cię nogą rozgniół, — ale ty przecież człowiekiem jesteś! Człowiekiem?... Czy robakiem? Ktożeś ty jest, mów! — krzyczał pop, a włosy jego kołysały się na wietrze. — Gdzież Bóg twój? Dlaczego ciebie opuścił?

— „Uwierzył!“ — pomyślał uradowany dziad, zlewany słowami popa, jak gorącą wodą.

O. Wasyl przysiadł w kuczki i w pozie tej, tak niestosownej dla powagi kapłana, czerpiąc dziwną satysfakcję, szepnął namiętnie:

— Słuchaj! Ty się nie bój. Piekła nie będzie. Już ja ci prawdę powiem. Ja sam zabiłem człowieka. Dziewczynkę. Na imię jej Naścia. A piekła nie będzie. Będziesz w raju. Rozumiesz? Ze świętymi, z wybrańcami Boga... wywyższony. Słyszysz, wywyższony!!

Tego wieczoru O. Wasyl późno wrócił do domu, a wszyscy już byli po kolacyi. Czuł się bardzo zmęczony i pobladł, mokry był i zablocony po kolana, jak gdyby długo przebiegał po rozmokłych polach. W domu przygotowywano się do Wielkiejnocy, i popadya była zajęta, ale często nadbiegała z kuchni i trwożnie spoglądała na męża. Ale trwożę swą ukrywała, nie chcąc psuć nastroju świątecznego.

A w nocy, kiedy jak zwykle, przyszła do męża, i po trzykroć przeżegnawszy wezglowie, chciała odejść, zatrzymał ją cichy i przerażony głos, niepodobny do głosu surowego O. Wasyla:

— Naściu! Ja nie mogę iść do cerkwi.

Upadła na kolana koło łóżka męża i spojrzała mu w twarz: była bladą, jak u trupa w niebieskawem świetle małej lampki; leżał na wznak, jak cię-

żko chory albo dziecko, zmęczone strasznym snem i bojące się poruszyć.

— Módl się, Wasylku, — wyszeptała, głaszcząc jego zimne ręce, złożone na piersi, jak u nieboszczyka.

— Nie mogę. Strasznie tak. Zapal światło, Naściu!

Gdy zapalała lampę, O. Wasyl zaczął ubierać się, ale tak wolno i niezgrabnie, jak gdyby był bardzo osłabionym przez długie leżenie w łóżku. Guzików na kamizelce nawet nie mógł sam zapiąć i poprosił żonę:

— Zapnij.

— Ty gdzie się wybierasz? — zdziwiła się.

— Ależ nigdzie. Ja tylko tak.

I zaczął nieśmiałą wędrówkę po pokoju, a nogi uginały się pod nim, jak z trzciny. Cały korpus wstrząsał się raz po raz dreszczem, a dolna warga obwisła bezwładnie; chwycił ją z wysiłkiem, śliniąc językiem suche, spierzchłe wargi, ale po chwili opadała znowu i odkrywała czarną jamę ustną.

— Wasylku! Czyżby to miało być prawdą? — pytała, zamierając ze strachu.

O. Wasyl rzucił ku niej mętny wzrok i nagle począł machać ręką, jak skrzydłem:

— Nie trzeba. Nie trzeba. Przestań...

I znowu chodził tam i napowrót, a tymczasem na pościeli siedziała blada przerażona kobieta, a oczy jej szły za nim w ślad tam i z powrotem.

O. Wasyl zatrzymał się naprzeciw żony i rzekł:

— Tak ciemno tutaj. — Zapal jeszcze trochę światła.

— „Umiera“ — pomyślała i, trzęsąc się jak we febrze, z trudnością zapaliła świecę. A on prosił dalej:

— Mało... zaświeć jeszcze...

Więc ona świeciła, wciąż świeciła, a po chwili dużo lamp i świec płonęło w izbie.

Oliwna ich lampa była niby gwiazdką błękitną wśród żywego blasku innych światel, i zdawało się, że to jakieś wielkie przyszło święto, i rozradował się świat.

Teraz dopiero, w tej oświetlonej pustce ich mieszkania, spostrzegła, że „on“ jest samotny, że nie należy ani do niej, ani do nikogo, i że nikt tego odmienić już nie jest w stanie. Gdyby zeszli się teraz najsilniejsi mocarze wszechświata, obejmowali go i pocieszali — byłby przecież wciąż samotnym i opuszczonym.

I pomyślała znowu, zastygając w przerażeniu: — „on umiera“.

Tak mijala noc. A kiedy już miała się ku końcowi, kroki O. Wasyla były coraz pewniejsze, wyprostował się, kilka razy spojrzal na żonę i rzekł:

— Pocóż tyle światła? Pogaś to zaraz.

Wypełniła zlecenie i przemówiła cichutko:

— Waśka!...

— Jutro pomówimy. Idź teraz do siebie. Najwyższy czas udać się na spoczynek.

Ale popadya nie odchodziła i błagała go o coś oczyma.

Podszedł, znowu mocarny i tęgi, i jak dziecko, pogłaskał ją po głowie.

— Tak to bywa żono! — mówił i uśmiechał się. —

Był blady, jak śmierć, a około oczu miał ciemne obwódki: jak gdyby noc się tam przyczaiła i odejść nie chciała.

Nazajutrz O. Wasyl uwiadomił żonę, że zdejmie ze siebie szatę duchowną i w jesieni, uskla dawszy nieco grosza, wyjadą oboje — daleko — niewiadomo jeszcze dokąd. A idyota zostanie: odda się go do przytułku.

Śmiała się i płakała na przemiany, i po raz pierwszy od przyścia na świat idyoty pocałowała męża w same usta — cała w pąsach.

Miał wówczas Wasyl lat czterdzieści, a jego żona — trzydzieści cztery.

VIII.

Trzy miesiące odpoczywały ich dusze; i weszła znów w ich dom nadzieja i radość. Całą mocą przeżytych cierpień uwierzyła popadya w życie nowe i osobliwe, które nie wszystkim ludziom jest dozwolone. Czuła to wszystko, co się działo w sercu jej męża, widziała, oceniała i wierzyła w jego siłę. O. Wasyl próbował niekiedy mówić z nią o tem,

jak oni wyjadą i na nowo żyć złączą — ale nie chciała go słuchać: jakby te stanowcze i mające się ziścić projekta rozpraszały jej słodkie, mgliste marzenia. Pragnęła tylko jednego: aby uszli daleko, za krańce znajomego jej, straszego świata. Piła jeszcze, ale już coraz mniej. „Tam będzie coś innego, tam pić nie będzie trzeba“, myślała, cała opromieniona blaskiem pięknego marzenia.

Kiedy nadeszło lato, wychodziła znowu na cały dzień na łąkę i do kniei; wracała zaś późnym wieczorem i czekała przy furcie, kiedy przyjedzie z sianokosów O. Wasyl. Bezgłośnie rozlewała się w przestworzu ciepła noc letnia. Więc niepokoiła się już, aż nadjeżdżał wreszcie mąż, wesoly, rzeźki, otoczony subtelną wonią trawy i łąk. Przynosił w sobie rozradowanie i dobroć, jakie opanowują człowieka po przeciągłej zbożnej pracy wśród roju kwiatów i motyli.

— Jakże piękną jest cała przyroda — mówił i rozjaśniał twarz zagadkowym, ciętym uśmiechem: i rzecz dziwna, nie było w śmiechu tym ani śladu ironii.

— Tak, Wasylku. Pewnie, że piękna! — wtórowała żona.

Potem szli wieszerać. Ciasno było O. Wasylowi w swojej klatce po bezkresach pól; i tak się poruszał niezgrabnie, jak gdyby zawadzały mu same długie ręce i nogi, aż żona zauważyła żartobliwie:

— Gdyby ci teraz kazał kto kazanie napisać, pewniebyś pióra w ręku nie utrzymał.

I śmieli się...

Dwudziestego siódmego lipca wieczorem O. Wasyl z robotnikiem woził snopy z pola.

Już zarysował się pod ostrym kątem cień poblizkiego lasu i rozpełzł się po polu wężowo, kiedy od strony Znamieńska doszedł O. Wasyla cichy, brzęczący dźwięk, jak gdyby ktoś słaby dla psoty próbował rozkołysać dzwon na wieży. Pop odwrócił się: w tej stronie, gdzie z ciemno-zielonej kępy wiklin i wierzb wyrastał dach jego domku, unosił się gęsty kłąb czarnego smolnego dymu, a w jego splotach czerwienił się złowieszczy, lecz nie rozpanoszony jeszcze płomień. Nim pozrzucano snopy z wozu, nim przycwałowano do wsi, było już całkiem ciemno, i pożar kończył swe dzieło. Dopalały się niby świece, czarne, zwęglone słupy, białą plamą wyrastał samotny piec kafłowy, i nisko słał się dym do pary raczej podobny. Otulał stopy gaszących ogień chłopów, tak, że zdawało się, iż byli zawieszeni w powietrzu jak płaskie cienie na tle dogasającej jutrzeńki.

Cała ulica roiła się od narodu; chłopci potracali się w rozmokłym błocie, utworzonym przez ciągłe rozlewanie wody i głośno, gorączkowo rozmawiali, przypatrując się sobie tak uważnie, jak gdyby poznać się nie mogli. Z pola spędzano ryczące w niebogłosy bydło. Owce nieruchomo wylupiały szkliste oczy, płątały się między nogi chłopów i odskakiwały raz po raz w bok od ogarniającego ich nagle przeżarcia. Pilnie uganiały za niemi baby, i po całej

wsi słyhać było nawołujące je okrzyki. Cały obraz miał w sobie coś z obozu pierwotnych ludzi, o bronzowych twarzach, prześwietlonych jakimś wspólnym żywiołowym lękiem.

Dzień nie był wietrzny, tak, że tylko parafia spłonęła do szczętu. Opowiadano, że pożar miał się rozpocząć w pokoju pijanej popadyi, prawdopodobnie od papierosa albo niezręcznie rzuconej, płonącej jeszcze zapalki. Cała wieś była zajęta w polu; uratowali tylko przestraszonego idyotę, oraz parę lachów, a sama popadya dobrze się nadwęgliła, gdy wyciągnięto ją bezprzytomną i ledwie żywą z płomieni. Kiedy opowiadano to wszystko O. Wasyłowi, oczekiwano od niego wybuchów łez i rozpaczy, i powszechnie zdziwienie ogarnęło obecnych: podawszy szyję naprzód, pop słuchał uważnie, ze ściśniętymi usty; robił wrażenie, jak gdyby o wszystkim już dawno wiedział. I teraz tylko dopytywał się dla zbadania szczegółów. Może domyślił się wszystkiego w tę krótką obłąkaną godzinę, kiedy stojąc na furze z rozwianym włosem i przykutym do ognistego słupa wzrokiem, rzucał się jak opętany na puszczone w cwał wozie: domyślił się więc tego, co było pożaru przyczyną, i tego, że całe mienie razem z popadyą miały paść ofiarą płomieni, a idyota i Naścia miały wyjść bez szwanku.

Po chwili namysłu skierował kroki do domu dyaka, gdzie znalazła przytułek umierająca popadya.

— Gdzie ona? — zapytał głośno milczącą gromadę chłopów. Gestem rąk wskazali mu ją. Pod-

szedł, nachylił się nad bezkształtną, jęczącą masą, spostrzegł jeden wielki biały pęcherz na miejscu dawnej kochanej twarzy — i w obłędnym strachu odskoczył, zakrywając twarz dłońmi.

Poruszyła się niespokojnie; prawdopodobnie przyszła do przytomności; pragnęła przemówić, lecz zamiast słów tylko głuche chrapanie wychodziło z jej piersi. O. Wasyl zdjął ręce z twarzy: nie było na niej łez, — natchnioną była i poważną, jak twarz proroka. A kiedy przemówił, wolno i wyraźnie, jak się mówi do głuchoniemych, — w głosie jego dźwięczała nuta niewzruszonej, głębokiej wiary. Nie było w nim nic ludzkiego; tak mówić mógł tylko ten, kto przeżył straszny sąd Boży i był mu blizkim.

— W imię Jezusa Chrystusa — czy słyszysz mnie? — krzyknął. — Jestem przy tobie, Naściu. To ja, mąż twój. A tu i dzieci twoje. Oto Wasyl. A oto Naścia. — Ze strasznej maski twarzy żony trudno było osądzić, czy słyszy co, czy nie. Podniósłszy głos, O. Wasyl mówił dalej:

— Przebac mi, Naściu. Niewinnie padłaś ofiarą mojej nieporadności. Jam cię o zgubę przyprowadził. Przebac mi, moja umiłowana. I pobłogosław dzieciom w sercu swoim. Oto są one: tu Naścia, a tu Wasyl. Pobłogosław im. I odejdź w pokoju. Nie bój się śmierci. Bóg ci przebaczył. Bóg cię umiłował. On da ci ukojenie. Odejdź w pokoju. Tam odnajdziesz Wasylka.... Rozeszli się wszyscy, płacząc gorzko, i wynieśli uspionego idyotę. O. Wasyl sam jeden pozostał przy umierającej. Upadł na kolana, i wsparł-

szy głowę na łożku, zapłakał cichemi obfitemi łzami straszego smutku. Oplakiwał jej młodość i urodę, i jej dopraszanie się o szczęście i pieszczoty; oplakiwał matkę, która straciła syna; i tę lękiem ogarniętą i wizyami prześladowaną; oplakiwał tę, która czekała na niego w wieczory letnie, pokorną i kochającą... Toż więc jest jej ciało rozpieszczone, delikatne, przez ogień zdradziecko pochłonięte, spaleniźną cuchnące. Czy choć wołała go, by ją ratował? Biedna, biedna!...

O. Wasyl zerwał się dziko i słuchał. Było cicho, tak cicho bywa tylko w domu żałoby, gdzie śmierć wszechwładna zagości. Spojrzał na żonę: trwała w osobliwej nieruchomości trupa, i zdawało się, że każdy fałd sukni i okrycia zastygł w kamień; poblakły barwy żywe, zastąpione gobelinową martwą powłoką.

I umarła.

Przez otwarte okna dochodziły łagodne oddechy miękkiej ciepłej nocy, a gdzieś, hen, daleko, harmonijnie ćwierkały koniki polne. Około lampy miały się niespokojnie ćmy, padały, jak martwe, i znowu chorobliwemi poruszeniami pędziły do ognia, to niknąc w ciemności, to znowu świecąc jak śnieżynki, oświetlone blaskiem zachodzącego słońca.

— Nie! Nie! — przemówił pop głośnie i z trwogą. —
— Nie! Ja wierzę. Ty masz słuszność. Ja wierzę. —
Upadł na kolana, potem przypadł twarzą do wilgotnej podłogi, pełnej rozrzuconych strzępów waty i szmat opatrunkowych — jakdyby chcąc w proch się

przemienić i z prochem się zmieszać. W ekstazie bezgranicznej pokory, opuszczając już ze słów swoich to „ja“, mówił:

— Wierzę w Boga Ojca Wszchemogącego!... Tak modlił się, a potem znowu bez słów, lecz z myślą skupioną, trwał w modliwie całym swym śmiertelnym jestestwem, które w proch upadło, przed majestatem i bliskością Pana i Twórcy.

Już nie odczuwał życia realnego — jakgdyby porwały się nici, wiążące ciało z duchem, i wyzwolony ze wszystkiego, co ziemskie, uniósł się duszą swoją w nieskończone i górne strefy.

Kiedy O. Wasyl podniósł się z ziemi, było już jasno, a promień słoneczny, rumiany i iskrzący legł jasną plamą na skamieniałych szatach nieboszczki. Zdziwiło go to niezmiernie, bo ostatnim obrazem, co tkwił mu w pamięci, było to ciemne okno, i ćmy, fruujące naokoło lampy. Kilka spalonych leżało już koło niej, i płonęła jeszcze światłem żółtem, jak i w nocy. Jedna z tych skrzydlatych istot, szara, kudłata, z potwornie dużą głową była jeszcze żywa, ale nie miała sił do lotu i bezwładnie pełzała po stole. Musiała bardzo cierpieć, szukała zapewne nocy i mroku, lecz ze wszystkich stron płynął ku niej nielitościwy blask i piekło maleńkie, potworne ciało, do ciemności stworzone. O. Wasyl zgasił lampę, wyrzucił przez okno trzepocące się stworzonko, i rzeźki,

jak po zdrowym śnie, poszedł do ogrodu djaka. Tam długo przechadzał się po usypanej piaskiem ścieżynce, zawadzał głową o gałęzie jabłoni i czereśni, i myślał. Słońce mocno już przygrzewało jego odkrytą głowę poprzez gęstwinę liści, a na skrawie ognistym potokiem zalewało oczy, oslepiając je. Od czasu do czasu spadały z drzewa dojrzałe jabłka, a pod czereśnią rozgrzebywała suchą sypką ziemię i gdała kura, otoczona tuzinem puszystych żółtych kurcząt, — ale on nie widział nic. A myśli jego były cudne — czyste, jak powietrze ranne, i jakieś nowe, odrodzone. Myślał o tem, że całe życie jego Bóg w pustynię przemienił, ale tylko po to, by nie szedł dawnymi, utartymi drogami, ale w bezbrzeżnej jej przestrzeni szukał nowego szlaku. A ten słup wczorajszego dymu i ognia — czyż nie był tym słupem ognistym, co wskazywał niegdyś żydom drogę na pustyni? I myślał: „Boże, czy starczy mych słabych sił?” — Lecz odpowiedzią mu było nowe świetlane zarzewie, opromieniające na wskrós duszę.

Wybrańcem jest.

Wybrańcem dla spełnienia mistycznej ofiary, dla odniesienia świętego zwycięstwa, on Wasyl, pop, ten, który tak świętokradzko na los swój się skarżył. Wybrańcem jest. Niech ziemia pod nogami się zapadnie, niech piekło zajrzy mu w oczy swą krwawą otchłanią — on i piekłu nie uwierzy. Czyż nie twardą jest ziemia pod jego stopami?

O. Wasyl zatrzymał się i tupnął nogą. Zalekniona kurka zagdała niespokojnie i najeżyła się, nawołując swoje rozbawione pisklęta. Jedno z nich

było daleko, więc szybko pobiegło na głos matki, ale po drodze chwyciły je i podniosły czyjeś gorące, kościste ręce. Uśmiechnięty dobrodusznie, O. Wasyl tchnął w żółte kurczątko swój gorący oddech, złożył dłonie delikatnie w gniazdko, przycisnął do piersi i znowu chodzić zaczął po długiej i prostej ścieżce.

— Jakie były moje czyny? Nie wiem i nie śmiem wiedzieć. Oto znalazłem swą dolę i nazywałem ją gorzką i ciężką, ale kłamstwem było to, co wiedziałem. Zapragnąłem syna urodzić, — i oto potwór bezkształtny, bezmyślny w dom mój wszedł. Pragnąłem pomnożyć mienie swoje i dom opuścić, a on mnie pierwszy opuścił, strawiony ogniem niebieskim. Tu kończy się moja wiedza. — A ona — ta bezmiernie nieszczęśliwa kobieta, dotknięta głęboko przez los w macierzyńskim łonie swoim, ona, która wyplakała wszystkie łzy, a przeżyła wszystkie okropności? Czekala na nowe życie na tej ziemi, i życie to pewnie dalej pełne byłoby troski, — a teraz spoczywa tam martwa, dusza jej śmieje się gorzko z zawiedzionych marzeń i rojeń. On jeden tylko wie wszystko. On dał mi wiele: dał mi poznać życie i ból i ostrzem własnego bólu pomógł wniknąć w ból ludzkości. Dał mi zrozumienie ich wielkiej nadziei i dał miłość do nich. Czyż oni nie ufają mi, i czyż nie kocham ich? Mili bracia! Zmiłował się nad nami Wszechmogący, i oto nadeszła godzina łaski Pańskiej!

Złożył pocałunek na puszystej, aksamitnej główce kurczątki i ciągnął dalej, nie po nici, swoje myśli.

— Moja droga. Czyż myśli o drodze czy kierunku strzała, wypuszczona w przestrzeń silną pewną ręką? Ona leci i cel swój osiąga — posłuszna woli tego, co ją wysłał. Danem mi jest widzieć i kochać — a celem mojej obserwacji, celem mojej miłości będzie jego święta wola — to moje zwycięstwo — moje posłannictwo...

Ogrzane ciepłą dłonią kurczę zamknęło oczęta i zasnęło — a on uśmiechnął się.

— Oto — ścisnę tylko rękę, a to biedactwo żyć przestanie. Leży na mojej piersi, na moich rękach i śpi z zaufaniem. A ja — czyż nie jestem również w Jego rękach? Jakże śmiem nie wierzyć w dobroć Boga, kiedy to stworzenie wierzy — w moją dobroć ludzką, w moje ludzkie serce.

Zaśmiał się z cicha, a uśmiech ten tysiącem zmarszczek rozbiegł się po czole; jak gdyby promień słoneczny zaigrał na szafirowej wód toni. I pierzchy długie, pogłębione dumania, spłoszone radością ludzką.

Lecz po chwili znikły zmarszczki, twarz przybrała wyraz skupienia, a oczy lśniły extatycznie. I stanął nagle przed świadomością tego, co najświętsze, a imię Tego — cud. Tam, do tego sacro-sancti nie śmiała jeszcze zajrzeć myśl ludzka. Tam była granica świadomości. Tam w bezdennych słonecznych otchłaniach zarysowywały się nowe światy, świat

miłości, świat sprawiedliwości Boskiej i jasnych rozświetlonych twarzy, niezhańbionych zmarszczkami cierpień, chorób, głodu. Jak olbrzymi goliatowy dyament skrzył się świat ten w bezmiarach słonecznych.

Pokornie zginając głowę, przemówił O. Wasyl:

— Bądź wola Twoja....

W sadzie ukazały się twarze ludzkie: dyaka, żony jego i wielu innych. Już zdaleka spostrzegli go i przyjaźnie kiwając głowami, skierowali ku niemu pośpiesznie swe kroki, potem podeszli bliżej, zawahali się — i zatrzymali się w osłupieniu, jak zatrzymują się ludzie przed ogniem, skłębioną falą wody, lub wreszcie przed spokojnem spojrzeniem waryata.

— Dlaczego tak patrzycie na mnie? — zapytał O. Wasyl.

Ale oni nie ruszali się z miejsca i patrzyli. Przed nimi stał wysoki człowiek, całkiem nieznamy, całkiem obcy i odpychał ich od siebie jakimś fluidem niewidzialnym, niby murem. Był straszny, jak cień z tamtego świata, a po twarzy jego rozlał się słodki uśmiech. A w kościstych dłoniach trzymał pulchniutkie żółte kurczątko.

— Dlaczego patrzycie tak na mnie? — powtórzył. — Czyż ujrzeliście cud?

IX.

Znanem już było ogółowi mieszkańców Znamieńska, że Ojciec Wasyl zrzucał z siebie pośpie-

sznie ostatki przeszłości i wszystko, co go z nią wiązało. Porozumiawszy się listownie ze swoją siostrą, mieszkającą w mieście, odesłał do niej Naścię i dnia pewnego pośpiesznie pożegnał się z nią jakgdyby w obawie, ażeby nie wzmogła się w sercu jego miłość rodzicielska i nie zajęła część serca, którą całą chciał nieść w ofierze ludzkości. Naścia wyjechała bez płaczu lub uciechy; zadowolona była ze śmierci matki i żałowała tylko, że idyota wyszedł cało.

Siedząc już w powoziku, ubrana w staromodną sukienkę, przerobioną z matczynej, w krzywo założonym kapeluszu dzieciennym, podobna raczej do brzydkiej słusznej dziewczyny, niż do podlotka, — wpatrywała się swym wilczym wzrokiem w dyaka i mówiła ostrym głosem, jak ojciec:

— Ależ dajcie pokój, dyaku. Mnie tu dobrze. Zajadę wygodnie. Do widzenia, tatku.

— Bądź zdrowa, Nastusiu. Ucz się, nie próżnuj.

Wóz ruszył, Naścia podskoczyła na siedzeniu, lecz już po chwili wyprostowała się jak laska. Dyak wyciągnął chusteczkę i powiewał nią za odjeżdżającą, ale Naścia nie obróciła się wcale, więc kiwając głową smutnie, dyak głośno wytarł nos i schował chusteczkę do kieszeni. Tak odjechała, ażeby więcej nigdy nie powrócić w strony rodzinne.

— Wy by, ojczulku, i synka może gdzie odprawili. Bo to trudno będzie sobie dać radę z jedną kucharką. Głupie to wasze babsko, a i głuche do

tego, — powiedział dyak, kiedy już kurz za odjeżdżającą rozwiął się na gościńcu.

O. Wasyl spojrział na niego smutnie.

— Mam ludziom grzech swój podrzucić? Nie, dyaku. Grzech mój do mnie należy. Jakoś będziemy już klepać tę biedę, przyjacielu, co?

Uśmiechnął się przyjaźnie i pogłaskał dyaka po ramieniu.

Do użytkowania gruntów swoich O. Wasyl upoważnił zarząd parafialny, wymówiwszy sobie tylko na utrzymanie małą pensję „wdowią“, jak ją teraz nazywał.

— A może nawet i tego się wyrzeknę, — mówił tajemniczo, jakby drwiąc z cicha z czegoś, co tylko jemu jednemu było wiadomem.

I jeszcze jednej rzeczy dokonał: ulokował puchnącego z głodu Monagina w służbie u Iwana Porfiryca. Ten ostatni początkowo wygonił petenta na cztery wiatry, ale pomówiwszy z popem, nie tylko że przyjął Monagina za robotnika, ale jeszcze posłał O. Wasylowi desek do budowy nowego domu.

I rzekł do żony swojej, wiecznie milczącej i wiecznie brzemiennej:

— Popamiętasz kiedyś moje słowa: narobi kiedyś hałasu ten pop. Już ja ci powiadam.

— Jakiego hałasu? — spytała się obojętnie.

— Ano zobaczysz. Tylko ja muszę teraz biernie się zachować, na wszelki wypadek. Bo jeszcze, no kto wie... — spojrział w okno, w stronę gościńca, prowadzącego do miasta gubernialnego.

I niewiadomo skąd, z jakiego źródła, wyszły i rozniosły się po wsi lęдлиwe wieści o znamieńskim popie.

W połowie października odbudowano wreszcie dom, ale pokryć zdołano tylko połowę dachu; druga połowa bez dachówek i krokwi z pustymi otworami okiennymi bez ram przyczepiła się do części zamieszkałej, jak szkielet do żywego człowieka, i strasznie wyglądała w nocy. Nowego umeblowania O. Wasyl nie nabył: pośród gołych ścian, na których jeszcze nie wyschła mokra glina, we wszystkich czterech pokojach stały dwa nielakierowane stolki, stół, no i łóżko. Głucha, niezdarna kucharka źle paliła w piecach, w pokojach zawsze czuć było dym, i często dostawało się migrenę z zagaru. A zimno było, jak w psiarni. W dnie mroźne szyby zewnątrz pokrywały się białym puszystym szronem, i w całym domu panowało białe półświatło; na okiennicach zamarzały zaraz z początkiem zimy ogromne kawałki lodu, z których na posadzkę spływała woda. Nawet niewybredni włościanie, odwiedzający popa w sprawach parafialnych ze zdziwieniem patrzyli na ubóstwo jego mieszkania, a dyak nazywał dom ten „pustym kurnikiem“.

Kiedy O. Wasyl przestąpił próg swego nowego schronienia, długo i radośnie chodził po pustych i przestronnych, jak śpichrze, izbach i wesoło mówił małemu idyocie:

— Ano pożyjemy tu sobie, Wasylku! Idyota

oblizal wargi długim jak u zwierzęcia językiem i zamamrotal pośpiesznymi, oderwanymi dźwiękami:

— Hu — hu! Hu — hu!

Wesoło mu było, więc śmiał się. Ale wkrótce i on odczuwać zaczął zimno, samotność i nudę tego zapadliska, gniewał się, bił się po twarzy i próbował pelzać po podłodze, ale upadał i mocno się kaleczył. Chwilami popadał w stan ciężkiej martwoty podobnej do skupionego zadumania. Podpierał wówczas głowę cienkimi, jak igły, palcami, wysuwał koniuszek języka i spoglądał przed się zmrużonemi powiekami. I zdawało się wtedy, że on wcale nie jest idyotą, i że myśli na swój własny osobliwy sposób, i że wie coś, czego nikt więcej nie wie i nie przeczuwa. Patrząc na jego splaszczony nos z szerokimi zadartemi nozdrzami, na jego tatarskie oczy, — mimowoli przychodziło na myśl, że gdyby mu tylko tęgie i bystre nogi przyprawić, uciekłby w lasy i tam dopiero rozpocząłby zawadyackie życie, pełne rozigrania, drapieżności i tajemniczej mądrości królestwa lasów.

I razem z idyotą, to głuszony jego dzikiem wyciem, to znów prześladowany skamieniałym jego wzrokiem, O. Wasyl zaczął nowe bezosobowe życie ducha, który rzekł się materji. Chciał być oczyszczonym dla wielkiego czynu — dlatego dnie i noce jego stały się jedną nieprzerwaną modlitwą, jednym upojnem wynurzeniem. Od śmierci żony nałożył na siebie surowy post: nie pił, nie jadł mięsa ani ryby, a w dnie postu żywił się samym chlebem, rozmoczonym w wodzie.

I z przykrą bezwzględnością, podobną raczej do zemsty, takim samym postem obarczył idyotę, a ten zmęczyl się, jak głodny zwierz: krzychał, drapał i nawet płakał skąpemi łzami, jak pies, — ale nie dostał ani jednej porcy więcej. Z ludźmi pop mało obcował, i to tylko z konieczności, unikając ich skrupulatnie, ażeby wyłącznie modliwie cały swój czas poświęcić. A kiedy zmęczyl się długim kłęczeniem, — siadał i zaczynał czytać Pismo święte, dzieje św. Apostołów i żywoty świętych. Służba cerkiewna odbywała się tylko w święta, a teraz co rano odprawiano ranną liturgię. Staruszek dyak wypowiedział mu posłuszeństwo i nie służył do mszy; pomagał mu teraz w służbie Bożej śpiewak, obszarpany starzec, dawno pozbawiony szaty duchownej za opilstwo.

Było jeszcze ciemno, kiedy O. Wasyl, drząc z zimna, szedł do cerkwi. Nie było to daleko, ale czasu traciło się wiele: często w nocy wichura naniósła całe góry śniegu, nogi grzęzły i zatapiały się w mokrej, skrzęcej się masie, a każdy krok kosztował wiele pracy. Cerkwi nie opalano dostatecznie, to też zimno tam było, jak w grobie: przy oddychaniu wychodziła biała para, a metalowych przedmiotów bez bólu nie można się było dotknąć. Specyalnie dla popa śpiewak, który zarazem pełnił funkcyę stróża cerkiewnego, rozpałał mały piecyk, a O. Wasyl, przysiadłszy się w kuczki, ogrzewał przy nim ręce: inaczej nie byłby w stanie utrzymać krzyża. Przez tych parę minut żartował ze sługą na

temat zimna, a staruszek słuchał go ospale; od ustawicznego opilstwa i zimna nos jego przybrał kolor burakowy-siny, a szczeciniasty podbródek, który zaczął golić po absolucyi, — poruszał się miarowo, jakgdyby przy żuciu.

Potem O. Wasyl wdziewał starą szatę, na której zamiast złotego obszycia sterczały pojedyncze nitki; do kadzidła wrzucano drobinę miry i w półmroku, ruszając się tak pewnie, jak ślepi w znajomym sobie miejscu, zaczęli odprawiać nabożeństwo. Dwa płomienie świec — jedna w ręku śpiewaka, druga na ambonie koło obrazu Zbawiciela — jeszcze bardziej zgęszczały mrok, i ostry ich płomień kołysał się na wszystkie strony, poddając się poruszeniom dwojga powolnych ludzi. Odprawiali mszę długo i rozwlekle, a kiedy skończyli, O. Wasyl przemówił:

— Patrz-no, Nikonie, jak pocieplało.

A z ust szła para. Zmarszczki na policzkach Nikona zaróżowiały, i pytającym wzrokiem obrzucił popa i pytał nieśmiało:

— A jutro — będziemy? Bo to może za zimno?

— Pewnie, Nikonie, że będziemy.

Z szacunkiem odprowadzał popa do drzwi i szedł potem do swojej izdebki. Tam witało go z piskiem i wyciem z dziesięć psów, dorosłych i szceniąt; otoczony niemi, jak dziećmi, karmił je i pieścił, a sam wciąż myślał o popie. Myślał o popie — i dziwił się. Myślał o popie — i uśmiechał się, nie roztwierając ust i odwracając się od psów, ażeby one jego

uśmiechu nie spostrzegły. I tak myślał, myślał, aż do samej nocy. A nad ranem czekał — czy pop nie skrewi i nie przestraszy się ciemności i zimna. Ale pop przychodził, zziębnięty, ale wesół, i znowu od dzwiczek pieca szła wgląd cerkwi wstęga czerwonego światła, a na niej chwiał się czarny potworny cień.

Początkowo usłyszawszy coś niecoś o dziwactwach popa, wielu schodziło się umyślnie, ażeby popatrzeć na niego, i dziwiono się powszechnie. Jedni z obserwujących uważali go za waryata; inni wpadali we wzruszenie i płakali, ale byli i tacy, a tych było najwięcej, którzy w sercach swoich uczuwali nabożny lęk. Bo w jasnym spojrzeniu popa chwyтали jakieś tajemne głębie, pełne grózb i obietnic kary. Lecz w krótki czas potem ciekawość ustała, i cerkiew po dawnemu stała pusta w ciemne godziny ranne, i nikt nie naruszał spokoju dwojga modlących się. Po paru tygodniach jednak rzecz uległa zmianie o tyle, że na głos modlącego się popa zaczęły odpowiadać z ciemności nawy jakieś westchnienia, czyjeś kolana głucho stukwały na kamiennej posadzce; czyjeś usta szeptały; czyjeś ręce stawiały maluchną groszową świeczkę, i wśród dwu ogarków była ona jak ta młodziutka, gibka brzózka na zrębie.

I zaczęła rósć jakaś trwożna i głucha wieść. Wpełzała wszędzie, gdzie tylko byli ludzie, i zostawiała po sobie jakiś osad trwogi, nadziei i oczekiwania. Mówiono o tem mało, niezwięźle, więcej wzdychano i głowami kiwano, ale już w odległości stu wiorst od Znamieńska jakieś licho mówić zaczęło o „nowej wierze“ i znowu zamilkło. A wieść nio-

śla się — jak wichur, jak chmury, jak dymna powłoka i swąd z dalekiego leśnego pożaru. Najpóźniej rozniosło się to po mieście, — jakgdyby najtrudniej było wieści tej przedrzeć się przez kamienne ściany i ludne, hałaśne ulice. Przyszli jacyś ludzie — i mówili, że ktoś umyślnie spalił swoje mienie, że powstała nowa sekta. Do Znamieńska zjechali ludzie w mundurach, nic nie znaleźli, a domy i ospałe twarze nic im też nie powiedziały — więc odjechali z powrotem, dzwoniąc dzwoneczkami.

Tymczasem O. Wasyl co rano odprawiał swoje ciche nabożeństwo.

X.

Wszystkie długie wieczory spędzał O. Wasyl we dwoje z idyotą, zamknięty z nim niby do jednej skorupy z sosnowych ścian i pułapu.

Z dawnych czasów zachował upodobanie do jasności, — dlatego na stole, rozgrzewając pokój, — płonęła jasno duża lampa z pyzatem szkiełkiem. Zamazłe okna powleczone były szronem i skrzyły się w ogniu, nieprzenikliwie, jak ściana, rozdzielając ludzi od szarej nocy. Bezkresnym pierścieniem zawisała ta noc nad domem, gniotła go z góry, szukała wejścia, szpary, kędyby mogła przypuścić szturm, ale nadaremnie. Szalała u drzwi, martwymi palcami obmacywała ściany, dyszała zimnem, z gniewem unosiła w górę miriady suchych śnieżynek i z roz-

machem biła niemi o szyby—a potem, rozwścieklona, zmykała w pole, wywracała kozły i rzucała się na wznak na ziemię, obejmując ją konwulsyjnie. Potem zrywała się, przysiadła i długo wpatrywała się w oświetlone okna, zgrzytając zębami. I znowu z piskiem rzucała się na dom, wyła w kominie w nienasyconej złości i tęsknocie: nie miała dzieci żadnych, bo je pożarła i pochowała w polu, w polu, w polu...

— Zamieć, — mówił O. Wasyl, nasłuchując i znowu chował wzrok w księdze.

Znalazła wreszcie wejście. Ogień dużej lampy przeciął w mchu między kłocami szparę; przyłgnęła — tam z zewnątrz szarem okiem. Ich dwoje, dwoje, tylko dwoje... Zresztą gołe ściany ze ściekającą smolą, pustka i rozpacz. I ich dwoje.

Pochyliwszy małą wążką czaszkę, idyota kleił z kartonu pudeleczko: mazał klejem, trzymając pędzel za sam koniec rączki, i krajał karton, a każdy zgrzyt nożyc głośno rozlegał się po pustym domu. Pudeleczka te były liche, krzywe, brudne, ze sterzącym i odlepionym na końcu papierem, ale on tego nie wiedział i pracował dalej. Od czasu do czasu podnosił głowę i rozglądał się po pokoju. W kącie, koło pieca, odbywały się całe niewidzialne bachanalie. Szept, trzask, chichot, lamenty i przeciągłe westchnienia. A naprzeciw pieca siedział człowiek i milczał.

Czasem trzasło wysychające drzewo belki, a O. Wasyl wzдрыgał się i podnosił oczy z białych za-

drukowanych stronic. Wtedy widział, jak przez mgłę, gołe ściany, zamarznęte szyby i szare oko nocy, i idyotę, zastygłego w pozie siedzącej z nożycami w rękę. Rozpraszało się wszystko, niby widzenie senne, i znów przed oczyma rozciągał się mistyczny świat cudu, świat miłości i szczęścia.

— Pa — po! — marmotał idyota niedawno wyuczone słowo i z podelba gniewnie i chmurnie spoglądał na ojca. Ale człowiek nie słyszał, a twarz jego była natchnioną. Marzył cudne marzenia o zbawieniu ludzkości, wierzył — wiarą męczenników, idących na stos, jak na łoże ślubne, i umierających ze słowem „Hosanna“ na uściech. I miłość niósł — mocarne umiłowanie władcy, pana życia lub śmierci, który nie zna mąk i niemocy ziemskiej miłości.

— Pa — po! Pa — po! — mruknął raz jeszcze idyota, ale nie usłyszawszy odpowiedzi, znowu chwycił za nożyce. Po chwili rzucił je i słuchał. Syk, pisk, chichot i świstania. Demoniczny chichot. Hej, rozigrała się noc, siadała na pniu świętego świerku! kołysała się i pelzała po śniegu, skradając się w kąć i kopiąc tam mogiłę — dla cudzych, dla cudzych. Hej, a jak się rozśpiewała. Potem wznosiła swoje szare olbrzymie skrzydła i uganiała za śnieżynkami, niby jastrzęb za jaskółką, — a one, blade z przerażenia, zmykały jak iskry po wietrze.

— Pa — po! — krzyknął idyota. — Pa — po!

Człowiek słyszy i podnosi głowę — jedną strzechę włosów, rozsypanych, jak ta wichura po nocy. Na moment wyrastają przed nim nagie ściany oraz

wystraszona twarz idioty, a za tem wszystkiem obłąkana melodia rozigranej zawiei — i napelnia się dusza jego zachwytem niebiańskim.

Oto dopełnia się — dopełniło się!

— Cóż Wasylku? Czemu nie kleisz? — klej!

— Pa — pa...

— Czego się boisz? Zamieć? Tak jest, zamieć.

O. Wasyl przylgnął do okna — oko w oko z nocą i burzą — i patrzy. Potem szepce z lękiem:

— Dlaczego on nie dzwoni? Może kto teraz w polu zablądził? — To zamieć płacze. Tam w polu...

Zaczekaj Wasylku. Zajrzę do Nikona, zaraz powrócę.

— Pa — po!

Drzwi skrzypią, dźwięki rosna. Skupiają się wszystkie koło drzwi, — ale tam niema nikogo. Ciemno i pusto. Jeden po drugim skradają się ku małemu głupiasowi — po podłodze, po ścianach, — i zaglądnają w jego obłąkane oczy, i szepczą, i śmieją się, rozigrane. I coraz są weselsze. Skaczą, łapią się i padają. Potem wpadają do drugiej izby. Nikogo. Jasno i pusto.

— Ba — am — m — m! — skądziś z góry pada pierwszy krzyk dzwonu i płoszy maleńkie przestraszone dźwięki. Ba — a—m—m! — pada drugi. I uciekły drobne dźwięki.

— Otóż i jestem! — mówi O. Wasyl. Cały jest ośnieżony i drży. Czerwone palce nie mogą w za-

den sposób obrócić kartkę książki. Dmucha na nie, trze jedną dłoń o drugą, i znowu szeleszczą kartki, i znowu znika rzeczywistość, a zaczyna się baśń.

— Ba—a—m—m!

Zamieć igra z dzwonem. Chwyta jego jędrne dźwięki, obwija je świstem i sykiem, rozprasza, — ciężko w pole katula, śniegiem przysypuje i nasłuchuje, przechyliwszy głowę w bok. I znowu biegnie na spotkanie nowych dźwięków, niestrudzona i przewrotna, jak licho.

— Pa—po! — krzyczy idyota i rzuca na ziemię nożyce.

— No, cóż? Uspokój się.

— Pa—po!

— No, dobrze już, dobrze. Przestań. — Czeka, przeczytam ci coś.

O. Wasyl obrócił wstecz jedną kartkę i zaczął surowym i poważnym głosem, jak w cerkwi. „A gdy przechodził tędy, ujrzał czleka ślepego od urodzenia“....

Podniósł rękę i spojrzał na Wasylka.

— Rozumiesz? Ślepego od urodzenia. Nigdy nie widział słońca, ani twarzy bliskich i przyjaciół. Przyszedł na świat — i ciemność go ogarnęła. Biedny człowieku! Ty ślepcze!

— Ba—a—m—m!!

— Słuchaj dalej, synu. „I przyszli doń uczniowie Jego i spytali go: Rabbi, kto zgrzeszył: on, czy rodzice jego, iż się ślepym narodził?“ — I rzekł im Jezus: nie zgrzeszył on, ani rodzice jego, lecz na to

tak się stało, iżby dopełniło się proroctwo.“ Tężeje głos popa i napełnia cały pokój brzmieniem. A idyota wpadł w wesołość: od tej całej symfonii rozgłosów i lśniących oczu ojca. Więc bił się po uszach, mruzczał, a gęsta ślina dwiema strugami spływała mu po brodzie.

— Pa—pa! Pa—pa! Pa—pa!

— Słuchaj, słuchaj. — „Oto dopełnić muszę posłannictwa danego mi od Niego, dopóki jest dzień; bo gdy nadejdzie noc, nikt nie będzie mógł czynić.“ —

— „Dopóki jestem w waszym świecie, Jam jest światłem świata.“ Na wieki wieków, na wieki wieków!

— Ty dlaczego tak jęczysz?

Idyota nie odpowiada.

— „Jam jest światło świata. A gdy to rzekł, pluł na ziemię, i zmieszawszy piasek ze śliną, pomazał oczy ślepemu.“ — „i rzekł doń: Ja ci powiadam, pójdź i umyj się w wodzie Hilaam (co znaczy wysłannik). A on poszedł i umył się, a gdy wrócił, przejrzał“.

— Przejrzał, Wasylku, przejrzał! — krzyknął pop groźnie, i zerwawszy się z krzesła, jął szybko przebiegać pokój. Potem stanął na środku i zaintonował:

— Wierzę, Boże! Wierzę!

I było cicho. Ostry, przeciągły chichot przerwał nagle tę ciszę, i niby bicz, smagał plecy popa; — ten odwrócił się szybko:

— Co tobie? — zapytał, cofając się lękliwie. —
Idyota śmiał się. Bezmyślnie rozwarł aż po uszy
usta i śmiał się:

— Hu—hu—hu! Hu—hu—hu!...

XI.

Na świętą Tróję, jako na wielkie święto wiosenne zwożono czerwony piasek dla usypania ścieżek. Głębokie jamy, z których chłopci ze Znamieńska już od kilku lat wydobywali piasek, znajdowały się o dwie wiorsty od wsi wśród niewysokich, a gęstych gaików brzozowych i jesionowych. Był dopiero początek czerwca, a już trawa wzniosła się do pasa i do połowy zakrywała przepyszną zieleń krzaków dzikiej róży, gęsto obsypanych pączkami kwietnymi. Kwiatów była w tym roku moc wielka, a pszczoły ze wszystkich stron zlatywały się na łąki. Na dnie piaszczystego jaru z obsypującemi się ścianami rozścielił się cały kobierzec macierzanek i dzwonków, rozsiewając dokoła subtelny aromat. Już od kilku dni zbierało się na burzę i czuć ją było w naelektryzowanym parnym powietrzu oraz w dusznych nocach letnich; pragnęła jej i chudoba w polu się pasząc, rycząc i zadzierając głowę ku niebu. A ludziom było też duszno i parno. Naelektryzowane powietrze gniotło i tamowało oddech, a niepokój, budzący się w sercach, zmuszał do głośnych oderwanych rozmów i do ciągłego śmiechu.

Pracowało ich dwóch: śpiewak cerkiewny, Nikon, który kopał i zwoził piasek dla cerkwi, i robotnik wójta, Semion Mosiagin. Iwan Porfiryecz lubił, ażeby u niego było dużo piasku i na ulicy przed domem i na brukowanym podwórzu. Semion nawiózł już był od rana całą furę, a teraz nakładał drugą, chyżo zgarniając łopatą zlocisty, lśniący piasek. Wesolo mu było od brzęczenia pszczół, od aromatu łąk i przyjemnej praca, dlatego figlarnie zaczepiał staruszką, dłubiącego ospale piasek poszczerbioną łopatą i przedrzeźniał się:

— Ej, bracie, Nikonie Iwanyczu, nadarmo nasza krasa ginie i marnuje się!

— Powtórz, coś powiedział! — odpowiadał śpiewak z leniwą, senną groźbą, a kiedy mówił, fajka tymczasem zwieszała mu z ust aż na drżącą brodę i postukiwała raz po raz.

— Uważaj, bo ssawkę zgubisz! — przestrzegał Semion. Nikon nie odpowiedział nic, Mosiagin nie obraził się wcale, tylko kopał dalej, gwizdząc. Przez pół roku służył u Iwana Porfirycza, podpaśł się i zaokrąglił, jak świeży arbuz, a lekka praca nie zabierała mu już całego zasobu sił i nie zaprzętała uwagi; dłubał, podkopywał i podrzucał zręcznie, manewrując łopatą niby szerokim, ruchliwym językiem. Ale warstwa, z której jeszcze poprzedniego dnia brali piasek, wyczerpała się w końcu, i Semion pluął na nią z zadowoleniem.

— No, tu niewiele się domacasz. Możeby teraz tam zacząć, he? -- zerknął na niziuchną jamę pod-

kopaną w jednej z rozsypujących się ścian i upstrzoną czerwonymi i szarzielonymi płatami i skierował do niej swe kroki.

Śpiewak zajrzał do środka jamy i pomyślał: „taż ona się lada chwila zapadnie“, — ale nic nie powiedział.

Ale wnet Semion sam przyszedł do tego przekonania, gdy uczuł lekki zawrót głowy i zatrzymał się.

— Jak myślisz, zawali się, czy nie zawali? — zapytał, odwracając się.

— A skądże ja mogę wiedzieć? — odpowiedział staruszek. Ciemny, owalny otwór, niby paszsa rozwarta, miał w sobie coś zdradzieckiego, i Semion nie mógł się zdecydować. Lecz z góry, gdzie zawisł nad przepaścią dębowy krzak i ostro zarysowywał na tle błękitu kontur swojego drżącego listowia, szedł cudny aromat macierzanki i napelniał duszę rzeźkością i odwagą. Naśliniwszy dłonie, Semion chwycił za łopatę lecz zaledwie tylko wykonał nią pierwsze poruszenie, — coś słabo zatrzeszczało, cała ściana bez szelestu stoczyła się w przepaść i nakryła go. I tylko zatrzymany korzeniami krzak dębowy słabo zakołysał liście, a okrągła grudka piasku pokatulała się popod same stopy zmartwiałego w strachu Nikona i zatrzymała się, taka drobna, taka niewinna. W dwie godziny potem Semiona odkopano martwym. Miał otwarte szeroko usta z białym szeregiem równych zębów, pełnych złocistego piasku; po całej twarzy, w jamach ocznych, we wło-

sach o połysku miedzi i w płomiennie-rudej brodzie pełno miał takiego samego złocistego piasku.

Razem z narodem nadbiegł i syn nieboszczyka, Seńka Mosiagin. Jego nie wzięto na wóz, i całą drogę musiał biedz za jadącymi, więc sapał ciężko, kiedy tymczasem odkopywano jego ojca, i stał nieruchomo na boku, wylupiwszy oczy w stronę usypiska.

Trupa ułożono na furze, na wierzchu zebranego przez niego złocistego piasku, przykryto rogózką i stępa powieziono do Znamieńska krótszą drogą przez las; za wozem kupkami szli chłopci, rozsypani po lesie, a koszule ich krwawiły się w słonecznym świetle. A kiedy przejeżdżali przed domem Iwana Porfiryca, śpiewak zaproponował, by oddać mu nieboszczyka do dyspozycji.

— Jego robotnik, on więc niech pochowa. — Ani w oknach, ani koło domu nie znaleziono nikogo, a sklep ze świecami zamknięty był wiszącym żelaznym zamkiem. Długo stukano do wysokiej bramy, obitej gwoździami, długo szarpano za dzwonek, i słyhać było, jak głośno i płaczliwie dzwonił gdzieś w głębi, psy czekały zajadle na podwórzu, ale nikt się nie pokazał. Wreszcie wyszła starucha kucharka i powiedziała, że pan jej rozkazuje odwieźć Mosiagina do domu i daje na pogrzeb, nie licząc długiej pensyi, dziesięć rubli. A jak długo rozmawiała z gromadą, sam Iwan Porfiryca, zły i przestraszony patrzył z za firanki na straszłą rogożę i mówił szeptem do swojej brzemiennej żony:

— Pamiętaj, co ci gadam: żeby mi tu pop milion kładł na stół, ręki do niego nie wyciągnę; niech raczej uschnie. To straszny człowiek.

I nie wiadomo dlaczego, — czy, że wójt nie chciał przyjąć nieboszczyka, czy przez co innego — dość, że po wsi rozpełzły się i rosły dziwne słuchy. Mówili o Semionie i o jego strasznej, niespodzianej śmierci, a myśleli o popie, nie wiedząc, dlaczego właśnie o nim myślą i czego od niego chcą. Kiedy O. Wasyl wyszedł na panichidę,* blady i obarczony jakąś ciężką dumą, lecz uśmiechający się tajemniczo, rozstępowano się nabożnie i długo nie odważono się stanąć na tem miejscu, gdzie płynęły niewidzialnym blaskiem ślady jego nóg. Przypominano sobie pożar i długo o nim rozprawiano; przypominano sobie spaloną popadyę i jej syna głuptaska, i dreszcz strachu wstrząsał ich jestestwem. Jakaś baba wpadła w płacz z wybuchu żalu i tęsknoty i odeszła. Inni długo śledzili jej drżące plecy i poszli także. Dzieci, zarażone niepokojem starszych, zbierały się wieczorami na gumnie i przy opłotach, opowiadając straszne bajki o duchach umarłych i topielcach. Długo wołał je i przyzywał do ciepłej bezpiecznej izby przyjazny głos ich matek, ale one nie mogły się odważyć ruszyć bosych nówek i przebiec cwałem przez pełną strachów mgłę. I przez całe dwa dni aż do pogrzebu chodzili okoliczni chłopci oglądać trupa, który puchł już od gorąca i posiniał.

* Żałobne nabożeństwo w cerkwi.

Obiedwie noce przedpogrzebowe ziemia dyszała męczącym skwarnym tchnieniem, i bezrośnemi pozostawały umęczone łąki, już poczynające płonąć od słońca. Niebo było bez chmur, ale rzadkie bezbarwne gwiazdy rzucały mdłe światło; a nad wszystkim rozlegało się natrętne terkotanie koników polnych.

Kiedy po pierwszych egzekwiach O. Wasyl wyszedł z chaty, było już ciemno. Dławiąc się od zaduchu, pop zdjął szeroki kapelusz i szedł bez szelestu po miękkim puszystym kobiercu traw. I czy wiedziony lękiem, ogarniającym nawet i jego, czy też czujnym słuchem — dość, że przeczuł, iż parę kroków za nim ktoś idzie. Oglądnął się — spostrzegł jakąś słuszną sylwetkę, widocznie stosującą swe kroki do jego. Pop zatrzymał się — ten za nim zrobił parę kroków i przystanął także.

— Kto to? — zapytał O. Wasyl.

Człowiek milczał. Potem nagle obrócił się i szybko odszedł i za chwilę znikł w ciemnościach. Na drugą noc powtórzyło się to samo. Wysoki człowiek szedł za popem aż do samej jego furtki, i po chodzie, czy po postawie zdawało się popowi, że rozpoznał w nim Iwana Porfiryca.

— Iwanie Porfiryczu, to wy? — zapytał. Ale tamten nie odezwał się i wrócił. A kiedy O. Wasyl kładł się już do łóżka, ktoś cicho zapukał w okno; pop wyszedł — koło domu nie było żywej duszy.

„Czegoż on się tak miota, jak zły duch? —

pomyślał niezadowolony O. Wasyl, upadając na kolana do wieczornej modlitwy.

A gdy się modlił, idyota zlął z pościeli, wólcząc z hałasem słabe jeszcze nogi. Zaczął raczkować jeszcze z początkiem wiosny, i już nie raz zdarzało się, że O. Wasyl, wracając do domu, odnajdywał go na progu siedzącego nieruchomo, jak piesek przy zamkniętych drzwiach. Teraz dążył ku otwartemu oknu, a poruszał się wolno, jak robak, kiwając głową to tu, to tam. Wreszcie dowlókl się, zarzucił w górę silne ręce i podniósłszy się na nich, wpatrywał się chmurnie w ciemność nocy. I nasłuchiwał...

Chowali Mosiagina w poniedziałek Zielonych Świąt, a zaczął się ten dzień złowrogo i dziwnie, jak gdyby nastrojowi dusz ludzkich w tej chwili odpowiadał nastrój w przyrodzie. Od samego rana skwar był tak okropny, że źdźbła trawy w oczach się skręcały i blakły, jak gdyby na ogniu. Niebo skłon nisko zawisł nad ziemią, a cały jego błękit był niby przetkany cienkimi żyłkami różowych iskier, pełen metalicznych refleksów i przelewań. Ogromne słońce siało żar, i dziwnem było, że żaden przedmiot nie rzucał cienia; jak gdyby pomiędzy słońcem a ziemią zawisła jakaś nieuchwytna wzrokowi błonka, zatrzymująca promienie.

Ścięte żarem młode brzoźki ze skręconymi liśćmi szarymi szeregami rozciągały się po wsi, cała tragedia mieściła się w tym bezcelowym pochodzie młodych szarych drzewek, ginących z pragnienia i nie dających cienia, jak widma. Złocisty piasek pokruszył się dawno za żółty pył, a rozsypane od wczoraj na przyzbach ziarenka słoneczników przypominały onegdajsze święto i rozradowanie dusz.

Kiedy O. Wasyl przywdziewał szatę, do ołtarza zbliżył się Iwan Porfiryecz. Przez pot i czerwone plamy, któremi skwar pokrył jego twarz, przeierała bladość ziemista; oczy nabrzękły i płonęły febrycznie; pośpiesznie przyglądzone, lepkie od kwasu włosy miejscami wyschły i sterczały, jak kogucie grzywki; wogóle wyglądał, jak człowiek, który wiele nocy nie dospał, targany przerażeniem.

Był jakiś wystraszony, nie podszedł do popa po błogosławieństwo i nawet się nie przywitał.

— Cóż to wam jest, Iwanie Porfiryczu? Czyście może zachorzeeli? — zapytał troskliwie O. Wasyl.

Wójt próbował się uśmiechnąć.

— Tak. Ale to głupstwo. Pomówić chciałem z wami, ojczu.

— To wyście wczoraj... —

— Tak, to ja. I trzy dni temu — także ja. Przepraszam. Ja bez złej myśli...

Westchnął ciężko, i znowu nie umiejąc się pohamować, rzekł dorywczo:

— Boję się czegoś. Od urodzenia niczego się nie bałem. A teraz boję się.

— A czegoż to się boicie? — zdziwił się pop. Iwan Porfiryecz zajrzał popowi za ramię, jak gdyby tam ukrywał się ktoś, i wyszeptał:

— Śmierci.

Patrzyli sobie w oczy.

— Śmierci. Ano, bo przyszła do zagrody w gościnę. I het wszystkich bez wyboru zmiecie. A jakże! Darujcie, ale u mnie i kury bez przyczyny nie zdychają: każę do kapuśniaku zarznąć, to i zdycha. A to co? Czyż tak być powinno? Darujcie. Ja odrazu się domyśliłem. Darujcie.

— Ty o Semionie?

— No, a o kim? Może o Sidorze lub Iwanie? Hej, — mówił brutalnie — ty te rzeczy zostaw. Tu niema durniów. Idź sobie po dobremu, zabieraj manatki pókiśmy dobrzy!

Wskazał ręką drzwi i krzyknął:

— Ale zaraz!

— Co ci to jest? Zwaryowałeś?

— To jeszcze nie wiadomo, kto zwaryował: ty, czy ja. Po jakie лихо ty tu całymi rankami wysiadujesz? — „Modłę się, modłę“ — zanucił po cerkiewnemu. — Tak się nie modli. Ty czekaj, ty cierp, a nie „modłę się“. Poganinie jeden, ty zarozumiałcze, chcesz na swoje kopyto wszystkich nawrócić. Ot i masz nawrócenie: gdzie Semion? Mów, gdzie Semion? Za coś chłopca zgubił? Gdzie Semion, pytam?

Szarpnął się ku kapłanowi, ale ten rozkazał:

— Odejdź od ołtarza, niegodziwcze!

Pąsowy od gniewu Iwan Porfiryecz z góry na popa spoglądał — lecz zamarł z otwartymi usty.

Patrzyły się na niego głębokie straszne oczy, i jakiś żywiol w nich się ukrywał, niby sto mieczów. Same oczy. Ani twarzy, ani ciała nie widział Iwan Porfiryecz. I jak gdyby obłany gorącą wodą, machnął ręką i wyszedł, uderzywszy o okap głową.

Bał się obejrzeć poza siebie.

XII.

Wchodzili milcząc, stąpając ostrożnie, i zatrzymywali się, gdzie się zdarzyło — nie na swem zwykłym miejscu, gdzieby się im chciało i gdzie przywykli byli stać. Jak gdyby było nie dobrze w ten dziwny, trwożliwy dzień trzymać się jakichkolwiek nawyknień, pamiętać o jakichś tam niewygodach. Stawali i długo nie odważyli się obrócić głowę, żeby się obejrzeć. Już trudno było oddychać od ścisku, a z tyłu wciąż parły coraz to nowsze milczące rzędy; i wszyscy milczeli, i wszyscy grobowo i trwożliwie czekali, zwabieni dziwnymi pogłoskami, zjechali się ludzie z oddalonych wsi, z obcych parafij; ci byli śmielsi i rozmawiali głośno, lecz i oni wkrótce milkli, gniewając się i dziwiąc, nie będąc jednak w stanie, jak i wszyscy, przerwać więzów ołowianego milczenia. Wszystkie wysokie strzeliste okna były otwarte dla dostępu powietrza, i przez nie zaglądało miedziano-czerwone groźne niebo:

jak gdyby przeglądało się ono ponuro to w tem, to w drugim oknie, rzucając na wszystko suche metalowe refleksy. I w tem rozszanem, ciężkiem, ale jasnym świetle stara pozłota „ikonostasu“ połyskiwała blado i niezdecydowanie, drażniąc oczy chaosem i nieokreślonością. Za jednym oknem nieruchomo i sucho zielenił się młody klon, i wiele ócz bez przestanku wpatrywało się w jego szerokie, z lekka obwisłe liście: zdawały się one być starymi, spokojnymi przyjaciółmi pośród tego milczenia, pośród tego wstrzymywanego pomieszania uczuć, pośród tych żółtych drażniących blasków.

I nad wszystkimi, zwykłymi, spokojnymi zapachami cerkwi, nad aromatem kadzidła i wosku panował wstrętny, straszny zaduch rozkładu ciała. Trup rozpadał się szybko, i do tej ciasnej trumny, zawierającej tę rozkładającą się masę gnijącego i śmierdzącego ciała przykro i strasznie było podchodzić.

Przy trumnie niewzruszenie, jak i ona, stało czworo: wdowa i troje dzieci.

Może i oni czuli zapach, ale nie wierzyli sobie; może nie czuli go, a myśleli i wierzyli, że chowają żywego, jak myślą wszyscy ludzie, kiedy nieoczekiwana śmierć porwie jednego z nich, takiego blizkiego, kochanego. Milczeli, i milczało wszystko; miedziano-czerwone groźne niebo przeglądało się to w jednym, to w drugim oknie nad głowami tłumu i rozsiewało suche blaski. Kiedy zaczęło się nabożeństwo uroczyste i prosto, jak zwykle, i kiedy machnął

na tłum kadzielnicą tłusty i dobroduszny dyakon — westchnęło się swobodniej, zrobiło się weselej i lżej. Gdzieniegdzie zaszepitano; gdzieniegdzie przestąpiono z nogi na nogę; niektórzy wyszli przed kościół odpocząć i zapalić papierosa. Ale paląc i rozmawiając spokojnie o siewach, o groźnej suszy, naraż zatrzymywali się i przerażali, że bez nich może zajść w cerkwi coś ważnego, nieoczekiwanego, rzucali niedopalone papierosy i wtłaczali się do wnętrza, rozpierając tłum ramionami, jak klinami. I zatrzymywali się: uroczyście i prosto odbywało się nabożeństwo, spokojnie pochrząkiwał i pokaszliwał przed początkiem słów stary dyak, wynajdywał w tłumie rozmawiających i groził im krótkim, grubym palcem. Ci, co wyszli przed końcem nabożeństwa, zauważyli, że nad lasem od strony słońca podnosiła się błękitnawa chmura, lekko ciemniejąca pod promieniami słońca — i radośnie przeżegnali się. Znajdował się wśród nich Iwan Porfiryecz, blady, jak gdyby chory; on również się przeżegnał, zobaczywszy chmurę i sam ponuro spuścił oczy.

Podczas przerwy między nabożeństwem i egzekwiami, kiedy O. Wazyli przebierał się w czarny aksamitny ornat, dyak zauważył:

— Wartoby było wziąć skądś lodu — bardzo cuchnie. Ale skąd wziąć lodu? Mojem zdaniem, wartoby było mieć zawsze w cerkwi jakiś zapasik na podobne wypadki. Powiedzcie staroście.

— Śmierdzi? — bezdźwięcznie zapytał pop, nie odwracając się.

— A wy nie czujecie? Macie też nos. A ja już zupełnie omdlałem. Teraz, dzięki latu, tego zapachu i przez tydzień nie wykadzi się. Słyszycie: nawet broda śmierdzi, jak Boga kocham.

Podsunał do nosa koniec siwej brody, powąchał i z niezadowoleniem mruknął:

— A niech go tam...

Zaczęły się egzekwie. I znów ołowiane milczenie przygniotło tłum i każdego przykuło do jego miejsc, oddzieliło od drugich i oddało na pastwę męczącemu oczekiwaniu. Czytał stary psalmista. On widział śmierć tego, co obecnie straszyl wszystkich z czarnej trumny; doskonale pamiętał i niewinny kawałek uschłej ziemi, i dębowy krzak, kiwający niby rzeźbionymi liśćmi — i stare, znajome, zamarłe słowa ożywały w jego ustach. I o popie myślał on z trwogą i smutkiem, ponieważ w te zbliżające się godziny przerażenia on tylko jeden kochał O. Wazylego wstydliwą i łagodną miłością i blizkim był jego wielkiej buntowniczej duszy.

— „...Zaprawdę troska wszelaka i życie snem jest i marą: albowiem miota się każdy twór ziemski napróżno, i, jak powiada pismo, kiedy świat zdobędziem, w grobie legniemy, wszyscy razem królowie i nędzarze. Tym uspokój, Chryste Panie, twego raba, jako miłujący ludzi“.

W cerkwi ściemniało się. Szaro-siną niespokojną ciemność odczuli wszyscy, choć jej nie widzieli.

— „...Gdzież są ludzkie namiętności; gdzie marnienia doczesne; gdzie złoto i srebro, gdzie nie-

wolnicy i sława — wszystko prochem, popiołem i nicością...“ — drżały gorzkie słowa w starczych drżących ustach.

Teraz wszyscy zauważyli rosnącą ciemność i odwrócili się do okien. Poza klonem niebo było czarne, i szerokie liście już nie zieleniły się: zbladły, i przerażone i zdrętwiałe nie miały w sobie nic przyjacielskiego i spokojnego. Spojrzeli sobie ludzie w twarze, szukając uspokojenia, lecz wszystkie twarze były szaro-popielate, wszystkie twarze były blade i obce. I całą ciemność, wlewającą się milczącym, szerokim potokiem, wciągnęli w siebie czarna trumna i czarny pop: tak czarną była ta niema trumna, tak czarnym był ten wysoki, zimny i surowy człowiek. Pewnie i spokojnie poruszał się on, i ciemność jego szaty zdawała się świałłem śród ośleplej pozłoty, popielato-szarych twarzy i wysokich okien, siejących mrok.

Ale chwilami niepojęte wahanie i niezdecydowanie opanowywało go: zwalniał kroku i, wyciągnąwszy szyję, ze zdziwieniem przyglądał się tłumowi, jak gdyby czemś niespodziewanem był ten oniemiały tłum w cerkwi, gdzie on przyzwyczail się modlić sam tylko; następnie zapominał o tłumie, zapominał, że on odbywa nabożeństwo, i w rozrządzeniu szedł do ołtarza. Jak gdyby coś rozdawiało się w nim; jak gdyby czekał na jakieś słowo, rozkaz, na jakieś potężne, rozgrzeszające uczucie.

Ale ono nie nadchodziło...

— „Płacę i łkam, ile razy śmierć w moich myślach postanie, i widzę w grobach spoczywającą, na podobieństwo Boga stworzoną, piękność zbezkształconą, zniesławioną. O cudzie, cudzie! Zaiste święte są tajemnice twoje; jako że podlegamy rozkładowi; i jako żeśmy śmierci uniknąć nie mocni; zaiste wola twoja, Panie...“

Wśród zgęszczonej mgły świece płonęły jasno niby wśród mroku i już rzucały na twarze czerwone refleksy, i wielu było takich, co spostrzegli to szybkie, gwałtowne przejście dnia ku nocy, — kiedy jeszcze południowa nie wybiła godzina. Odczuł tę ciemność także i O. Wasyl, ale jej nie zrozumiał: przywidział się mu ranek zimowy, kiedy to on sam na sam z Bogiem przebywał, uczuwał moc w sobie jak strzała, puszczona celnie.

I drgnął, nie widząc, ale jak ślepy, przejrzywając.

Zwolniły swego chyżego lotu tysiące rozproszonych myśli, tysiące uczuciowych zwrotów: zwolniły bieg, — zatrzymały się — zamarły: chwila strasznej pustki, gwałtownego upadku, — końca... I rozkołysało się w piersi jego ukojenie i radość. Jeszcze parę niepewnych tętnień serca, a już go czuł. To on! To cud! To uczucie potężne, heroiczne, rozkazujące górom: zejździe, rozstąpcie się! — I schodzą na to, i rozstępują się gniewne góry. Radość! Radość! On patrzy na grób i na ludzi, i rozumie to wszystko tem cudnem wniknięciem w ducha rzeczy, które tylko we śnie ma miejsce i znika za pierwszym do-

tknięciem słonecznego blasku. Oto wielka zagadka! Oto radość ukojną! O ty, ty, rozumiem cię, widzę cię!

Chichocze głośno i ochryple — widzi przełęknioną twarz dyaka, jego wzniesiony dla przestrogi palec, i widzi skurczone plecy wiernych, których doszedł jego opętańczy śmiech, i zaciska usta, jak uczeń, który poczuwał się do winy.

— Nie będę! — szepcze do dyaka, a szalony zachwyty tryska z każdego ruchu jego twarzy. I płacze, zakrywając twarz rękami.

— Może kropli! Co, kropli jakich może, O. Wasylu! — szepcze do ucha dyak i z rozpaczą wykrzykuje: Ach, Boże mój, toż dopiero nie w porę! Słuchajcie, O. Wasyl!!!...

Pop odjął ręce od twarzy i spojrział na dyaka, — ten drgnął, na palcach dużymi krokami odszedł na bok, wlał całym korpusem na poręcz, omackiem znalazł drzwiczki i odszedł.

— ...Jawcie się wszyscy, bracia, oddamy ostatnią przysługę duszy zmarłego, dziękujmy Bogu, iż w łaskawości swojej...

W tłumie poruszenie. Niektórzy pośpiesznie wychodzą, nie porozumiawszy się ani słowem z tymi, co zostali, i po chwili przestronniej się robi w nawie. Tylko koło czarnej trumny pchają się ludzie, żegnają się, składają pokłony jakiejś wstrętnej masie i z wyrazami cierpienia odchodzą na bok. Oto żegna nieboszczyka wdowa. Ona wierzy w jego śmierć i czuje zapach zgnilizny, — ale dla łez

zwarte są jej oczy, i niema głosu w krtani. I dzieci patrzą się na nią — cztery pary maluchnych ocząt.

Teraz dopiero spostrzegli, że dyak zmieszany przedziera się przez tłum, a O. Wasyl stoi na ambonie i patrzy. Ci, co go widzieli w tej chwili, zapamiętają na zawsze jego straszny obraz. Rękami trzymał się poręczy z taką siłą, że końce palców zbieleły mu, jak u trupa. Podawszy korpus naprzód, jednym przenikliwym spojrzeniem darzył to miejsce, w którym stanęła wdowa i dzieci.

— ...Smutna jest rozłąka, o bracie mój, smutny płacz, smutne łkanie tej godziny; o przyjdźcie, złóżcie całowanie na tego, który był między wami, oto grób go skrywa, kamieniem przykrywa, w ciemność zapada, z umarłymi obcuje, a wszystkich krewnych i innych tam nie zbywa. O płaczcie...

— Ależ wstrzymaj się, szaleńcze! — rozbrzmiał z ambony głos ostry. — Czyż nie widzisz, że tu niema umarłych!

Tu nastąpiło coś strasznego, czego oczekiwali wszyscy w takim panicznym strachu. O. Wasyl otworzył drzwiczki i zeszedł do nawy głównej, potem przedzierał się przez tłum, tnąc pstry zespół barwnych ich sukien swoją czarną uroczystą szatą, i skierował się w stronę katafalku. Zatrzymał się, podniósł rozkazująco prawą rękę i rzekł:

— Semionie, mówię tobie, wstań!

I rozległ się szum i wycia, i krzyki śmiertelnego przerażenia. W obłąkanej trwodze ludzie garnęli się do wyjścia i przemienili się w stado bydła:

czepiali się wzajem, kąsali, dusili się za gardło i ryczeli. I wylewali się z cerkwi tak wolno, jak woda z przewróconej flaszki. Pozostał tylko: śpiewak, któremu książka spadła na ziemię, wdowa z dziećmi i Iwan Porfiryecz. Ten przez chwilę spoglądał na popa — i porwał się nagle z miejsca, wcinając się klinem w uciekającą rzeszę ludzką.

Z uśmiechem litości na widok strachu i niewiary, O. Wasyl powtórnie rzekł z uroczystą prostotą:

— Mówię tobie, wstań!

Lecz nieruchomym był umarły i wieczną tajemnicę zamknął w swych zwartych ustach. I cisza. Lecz oto czyjeś rozlegają się kroki, coraz cichsze, przestraszone nie mniej: to odchodzi wdowa z dziećmi. Za nimi cwałem biegnie, kulejąc, śpiewak psalmów, przy drzwiach odwraca się raz jeszcze, załamuje ręce — i znowu cisza. „Tak będzie lepiej: nie wypada mu w takim stanie wstawać przy żonie i dzieciach“, szybko myśli O. Wasyl i mówi po raz trzeci, cicho i prosząco:

— Semion! Mówię tobie, wstań!

Opuszcza rękę i czeka. Za oknem zadudniało coś, a dźwięk ten był tak bliski, jak gdyby wyszedł z trumny. On czeka jeszcze. Kroki ucichły. I znowu cisza, a po niej długie, przeciągłe westchnienie. Kto westchnął? Nachyla się nad trumną, w opuchłej, bezkształtnej twarzy zmarłego szuka iskry życia; rozkazuje oczom: „otwórzcie się!“ Nachyla się coraz niżej, niżej, chwytą rękoma brzegów zimnej trumny, prawie dotyka zsiniałych warg i wdycha w nie

tchnienie żywota — ale smrodliwem, zimnem tchnieniem śmierci odpowiada mu trup.

Odsuwa się nagle — i rozumie wszystko w tej chwili dopiero. Czuje zapach trupi; rozumie, że naród biegł w strachu z cerkwi, i że on sam jeden z nieboszczykiem w cerkwi pozostał; widzi za oknami ciemność, nie rozumie jej przyczyny i odwraca się. Wygasłe oczy rozpalają się zimnym płomieniem, żylaste ciało napelnia się świadomością tęgiej siły i twardości. Ukrywa oczy pod strzechą brwi i pyta spokojnie, — i cicho, cicho, jak gdyby bał się kogoś obudzić:

— Chcesz mnie oszukać?

I milczy, jakby czekając na odpowiedź.

— Więc pocóż wierzyłem?

— Więc pocóż dałeś mnie, o Boże, miłość dla ludzi i litość, — ażeby zakpić ze mnie?

— Więc pocóż całe życie trzymałeś mnie w niewoli, w kajdanach, w mękach? Ani jednej wolnej myśli. Ani westchnienia! Wszystko było Tobą, wszystko dla Ciebie. Ty jesteś jeden. Więc jaw się — czekam.

.

— Nie chcesz! — pyta również cicho i pokornie, — a nagle krzyczy obłąkanie, wylupiając oczy i nadając twarzy ten straszny wyraz obłędu.

— Ty musisz! Oddaj mu życie! Bierz sobie innego, ale tego zostaw! Ja proszę.

Zwraca się do cuchnącego ciała i nakazuje mu z gniewem i pogardą:

— Ty! Proście Go! Proś-że!!

I krzyczy świętokradzko, oszalały:

— Jemu nie trzeba raję. Tu są jego dzieci. One go będą wołać: ojczę. A on powię: zdeję z głowy moję wieniec niebieski, bo tam — tam błotem i kurzem proszą się głowy moich dzieci. On powię! On powię!

Z wściekłością potrząsa czarną ciężką trumną i krzyczy:

— Mówże, przekłęte cięsko!

Patrzy — i w niemem przerażeniu odska-kuje wstęcz, wyciągnąwszy do obrony ręce. W trumnie nięma Semiona. Trumna leży pusta. Po chwili ukazuje się w nię potworna głowa idyoty, wspartęgo pazurkami na jej brzegach, i zęzuje do nięgo przewrotnię, a usta składa w nikczęmny uśmiech. Milczy i patrzy, wylążąc powoli z trumny — potworny symbol zlania się wiecznego nieśmięrtelnęgo życia i wiecznej śmierci.

— Precz! — krzyczy O. Wasyl, a głowa jego staje się ogromną od wzbitej strzechy włosów. — Precz!

I znów nieruchomy trup. I znowu idyota.

I tak w potwornem rozigraniu dwoi się gnijąca masa, dysząc grozą. I w dzikim wybuchu gniewu chrypie pop:

— Ty będziesz mnie straszyl?! Ja ci tu...

Ale słowa jego zamierają. Nagle, rozpalając się oślepiającym blaskiem, rozdziawia się aż po uszy nieruchoma śmięrtelna maska i chichot, podobny do

gromu, napelnia całą zaciszną cerkiew. Brzechocze, roznosi się po sklepieniach i arkadach, rzuca kamieniami tu i tam, i obejmuje samotnego człowieka.

O. Wasyl otwiera oczy, podnosi głowę w górę i widzi: wszystko się zapada. Wolno chyłą się i zbliżają ściany, staczają się łęki i sklepienia, chwieje się wysoka kopuła, kołysze się i ugina posadzka, — za chwilę drgnie w posadach i zapadnie się świat.

Wtedy z dzikim rykiem biegnie ku wyjściu. Ale nie znajduje go i miota się i tłucze o ściany i ostre kanty filarów. Razem z nagle otworzonymi drzwiami upada na podłogę, podnosi się chyżo i — czyjeś drżące ręce czepiają się go i trzymają mocno. Szamocze się i piszczy, a uwolnioną ręką z siłą żelaza wali po głowie śpiewaka psalmów, próbującego go utrzymać, potem kopnąwszy nogą ciało, wyskakuje na ulicę. Niebo gorze płomieniem. Klębią się w niem i pienia rozdarte obłoki i całą swą gigantyczną masą padają na wstrząśniętą ziemię — wnet w posadach zapadnie się świat. I ztamtąd to, z ognistego chaosu walą się do grzmotu podobne trzaski i chichoty dzikiej radości. Na zachodzie jeszcze jaśniej seledynowa wstęga, a on, dusząc się, biegnie ku niej. Nogi jego płaczą się w długim ornacie żalobnym, pada, tarza się po ziemi, pokrwawiony, straszny, i znowu biegnie. Ulica bezludna, jak w mieście umarłych, ani na przyzbach, ani w oknach nie widać żadnej istoty: zwierza, ni ptaka, ni ludzi.

— Wszyscy pomarli! — wybłyska ostatnia myśl. Wybiega na szeroki bity gościniec i ucieka

przed marą piekielną, co za nim wyciąga swe dra-
pieżne pazury.

Daleko przed nim na furce wracają do Zna-
mieńska chłop i dwie baby. Spostrzegają biegnącą
czarną postać, na sekundę zatrzymują się — ale
poznawszy popa, sinagają konie i pędzą galopem.
Furka podskakuje na brzdach, dwoma kołami pod-
nosi się w powietrzu, ale tych troje przełękionych
ludzi, rozpaczliwie smagając konie, — pędzą i pędzą...

O. Wasyl upadł trzy wiorsty od wsi, na środku
gościńca, Upadł na twarz w proch, zbity kołami,
zdeptany nogami ludzi i zwierząt. I w swojej pozie
zachował pęd człowieka biegnącego: blade, martwe
ręce wyciągnął naprzód, nogę podsunął pod ciało,
a drugą w starym podartym bucie odrzucił wstecz
sztywnie, — jak gdyby i umarłym będąc, nie usta-
wał w biegu...

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

URZĘDNIK: TOMASZ
BIBLIOTEKA
MIASTA
LUBLINA
UL. ŚW. ANNA IV
LUBLON